PISMO MŁODZIEŻY SZKOLNEJ



15 gr

MŁODY NURT

Rok II

Nr 4

Pan Marszałek gościem u naszych Koleżanek i Kolegów w gimnazjum w Orłowej

W czasie pobytu za Olzą, Pan Marszałek Śmigły Rydz odwiedził gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej. W imieniu uczącej się młodzieży witał Pana Marszałka dyrektor Feliks; w jej też imieniu złożył ślub na wierność Rzeczypospolitej:

„Ślubuję Ci w imieniu całego zastępu pracowników Macierzy oraz w imieniu młodzieży gimnazjalnej, że z tym samym hartem pracować będziemy dla dobra i wielkości Narodu i Państwa Polskiego".

Przyjmując te mocne słowa miłości i przywiązania do Macierzy, Pan Marszałek zwrócił się do Dyrektora, Koleżanek i Kolegów z następującymi słowy:

„Dziękując bardzo, Panie Dyrektorze za te słowa, które słyszę od Pana, stwierdzam, że jest mi bardzo miło zbliżyć się do tych murów, w których wykuwały się dusze młodzieży polskiej, w których młodzież przygotowywała się moralnie i umysłowo do walk, jakie czekały ją w życiu. Dziś wszyscy jesteśmy radośni i w tej radości stwierdzam, że młodzież ucząca się w tych murach i z nich wychodząca będzie mogła w przyszłości skrzydła swoje młode rozwinąć do pełnego, niczym nie skrępowanego lotu, jak również i siły swoje, bez marnowania ich, będzie mogła w całości oddać służbie dla Ojczyzny Polskiej. Dziękuję".



W walkach o wyzwolenie Śląska Zaolzańskiego poległ śmiercią bohatera harcmistrz **Witold Reger**, hufcowy hufca cieszyńskiego Związku Harcerstwa Polskiego. Bohater został pośmiertnie odznaczony przez Pana Prez. Rzplitej Złotym Krzyżem Zasługi.

Jednocześnie Polska Akademia Literatury odznaczyła poległego Złotym Wawrzynem Akademickim.

— — —

Wnet po zgonie harcmistrza Witolda, zmarł w Cieszynie jego ojciec **Tadeusz Reger**, długoletni i niestrudzony bojownik o zwrot Polsce Śląska Zaolzańskiego.

W dniu zajęcia Cieszyna zachodniego został śmiertelnie postrzelony przez wojska czeskie **Karol Śniegoń**, oficer rez. Wojsk Polskich. Śniegoń chciał przedostać się do pobliskiej miejscowości Bystrzycy, nieobjętej jeszcze przez wojsko polskie. Ujęty i bity przez żołnierzy czeskich ratował się ucieczką. Ogień karabinu maszynowego powstrzymał jego ostatni ratunek. Zmarł na skutek odniesionych ran w szpitalu w Cieszynie.

Poległym w walce o wolność Śląska za Olzą bohaterom, składamy na tym miejscu wyrazy najgłębszej czci, uznania i najwyższego hołdu.

MŁODY NURT

DWUTYGODNIK

Nr 4 (7) Rok II

1 Listopad 1938 roku



Dnia 13.X 1938 r. zmarł pułkownik W. Belina - Prażmowski, twórca kawalerii polskiej

Fot. Photo-Plat

MARSZAŁEK PIŁSUDSKI O CZYNIE WOJENNYM BELINY:

...Przede wszystkim jednak podnieść muszę działanie oddziału jazdy pod dowództwem podpułkownika Beliny-Prażmowskiego. Świetnie prowadzona jazda, wspaniałym marszem obeszła cały układ sił wroga, by z tyłu wpaść do głównego siedliska wszystkich władz bolszewickich; śmiałym a nagłym napadem zajęła ona miasto z ogromnymi zapasami materiału wojennego i utrzymała je, pomimo ogromnej przewagi wroga, aż do przyjścia piechoty. Jest to najpiękniejszy czyn wojenny, dokonany w tej wojnie przez polską jazdę. Dziękuję za to podpułkownikowi Belinie-Prażmowskiemu i jego szefowi sztabu, majorowi Piskorowi.

NA 20 LECIE WYZWOLENIA LWOWA

Październik 1918 r. był miesiącem, w którym pożar wojny światowej, trawiący prawie cały świat przez przeszło cztery lata, zaczął dogasać.

Zachwiały się i runęły trony, niektóre zaś z państw europejskich rozpadły się lub zmieniły swój ustrój. Na gruzach Austro - Węgier powstała do wolnego i niepodległego bytu Polska Odrodzona. Lecz już w samym zaraniu swego istnienia musiała rozpocząć i prowadzić krwawą i uciążliwą walkę o swe granice. Jednymi z pierwszych walk Polski odrodzonej były boje z Ukraińcami o Lwów, boje zupełnie niespodziewane i słabo przygotowane.

Istniejące podówczas w kraju tajne organizacje przygotowywały się, co prawda, w miarę swych możności, do wystąpienia w odpowiedniej chwili. Niemniej jednak, z uwagi na swój „podziemny" charakter, organizacje te nie były w stanie wszędzie objąć w swe ręce władzy wojskowej i politycznej, porzuconej przez zaborców austriackich.

Tak więc **1 listopada 1918 r.** Ukraińcy, dzięki pomocy władz austriackich, owładnęli Lwowem. Władzę objęła „Ukraińska Nacjonalna Rada".

Oddział P.O.W., który liczył we Lwowie około 300 członków, nie czuł się na siłach, by wystąpić czynnie i przejąć władzę od czynników austriackich. Do oddziału POW dołączył się nieliczny (około 120 ludzi) oddział Polskich Kadr Wojskowych (K. P. W.), złożony z żołnierzy — Polaków austriackiej załogi wojskowej Lwowa.

Opanowanie miasta przez Ukraińców stało się hasłem do walki. Już od rana, tego pamiętnego dla Polaków, a zwłaszcza dla Lwowian dnia, walczyły samorzutnie poszczególne grupy i oddziałki polskie. Walczono w kilku punktach miasta. Celem tej wstępnej walki było zdobycie broni, której POW prawie że nie miała. W chwili rozpoczęcia walki ilość broni w rękach polskich była następująca: 30 karabinów, 1 karabin maszynowy i kilka kilogramów materiałów wybuchowych.

Obrona Lwowa zapoczątkowana przez nieliczną, lecz doborową garstkę patriotów, do których dołączyła się **młodzież wyższych uczelni, szkół średnich a nawet szkół powszechnych,** trzymała się na ogół twardo.

Komendant polskich sił wojskowych we Lwowie, kapitan Mączyński, organizował nowe jednostki, zasilając nimi poszczególne placówki. Widząc, że własnymi siłami wiele nie zdziała, rozpoczął starania o uzyskanie pomocy z zewnątrz, o nadesłanie odsieczy dla krwawiącego się miasta.

Na nadejście pomocy z zewnątrz Lwów musiał jednak poczekać parę dni. Przez ten czas mógł liczyć tylko na siebie.

O pomocy dla Lwowa myślały w tym czasie: Warszawa, Kraków i Lublin.

Natychmiastowemu urzeczywistnieniu tego zamiaru stanął na przeszkodzie brak wojska.

W Krakowie odsiecz dla Lwowa przygotowywał generał Roja, który już 4.XI 1918 r. zdecydował się na opanowanie Przemyśla, jako „bramy wypadowej" do przyszłych działań, mających na celu uwolnienie Lwowa spod panowania Ukraińców. Istotnie w dniach 11 i 12 listopada Przemyśl został opanowany.

Wreszcie, jedną z pierwszych trosk Komendanta Józefa Piłsudskiego, po jego powrocie z Magdeburga, była sprawa udzielenia pomocy dla Lwowa. Już 12 listopada 1918 r. w rozkazie swym żąda od generała Roji „wzmocnienia ekspedycji wschodnio - galicyjskiej".

Wreszcie 19 listopada Naczelny Wódz poruczył generałowi Rozwadowskiemu dowództwo nad grupą generała Roji w Przemyślu i oddziałem majora Wieczorkiewicza w Lublinie, z zadaniem „niesienia pomocy zbrojnej miastu Lwów i kopalniom borysławskim".

Z Lublina oddział odsieczy wyruszył 21 listopada.

Jak z powyższego niezbicie wynika, Naczelny Wódz od pierwszego dnia swego dowodzenia odrodzonym wojskiem polskim, kierował odsieczą Lwowa. Dzięki temu odsiecz ta dała oczekiwany wynik.

A jak się odbyła odsiecz — opowiem.

Jeszcze 13 lub 14 XI wylądował w Przemyślu lotnik z rozkazem ustnym Naczelnego Wodza do ppłk Tokarzewskiego, aby — jak głosi relacja płka Błeszyńskiego — „zrobić wszystko, co jest tylko możliwe, dla najrychlejszego dopomożenia obronie Lwowa".

Na tej podstawie ppłk Tokarzewski poczynił niezbędne przygotowania i wyruszył z Przemyśla 19 XI o godz. 5

Drogę otwierał pociąg pancerny (straż przednia) pod dowództwem kpt. Hickiewicza.

Drugi pociąg wiózł sztab grupy, batalion 5 p. p. Leg. i Legię Oficerską. W trzecim pociągu jechał półszwadron kawalerii, w czwartym i piątym baterie artylerii, wreszcie w szóstym pociągu była jarosławska kompania piechoty (straż tylna).

Pod Sądową Wisznią doszło do pierwszej walki, gdyż Ukraińcy zaatakowali transporty. Przeciwuderzenie 2 kompani 5 p.p. Leg., dowodzonej przez por. Bortnowskiego, odrzuciło nieprzyjacielską kompanię piechoty i szwadron kawalerii.

Po naprawieniu uszkodzonego toru pod Gródkiem Jagiellońskim odsiecz dotarła do Lwowa 20 XI o godz. 15. Lwów odetchnął. Ppłk Tokarzewski zdecydował całością swej grupy uderzyć z rana 21 XI na cytadelę, Wysoki Zamek, Górę Jacka i inne umocnione ukraińskie punkty obronne w mieście. Natarcie to nie udało się. Ukraińcy jednak, widząc dojście nowych sił do miasta, (co oznaczało wzmożenie natarć), i wyczuwając jednocześnie rozwijające się uderzenia polskich grup, działających na Lwów przez Chyrów — Sambor i przez Rawę Ruską, w nocy z 21/22 XI opuścili Lwów.

Działanie grupy ppłka Tokarzewskiego jako odsieczy dla Lwowa najtrafniej ocenił sam Naczelny Wódz, Marszałek Józef Piłsudski, gdy na zjeździe legionistów we Lwowie 7 sierpnia 1923 r. wypowiedział słowa:

„Miasto zostało polskie dzięki obronie 5 p. p. Leg. pod dowództwem ppłka Tokarzewskiego, który tę obronę podjął na własną rękę i na własne ryzyko.

Decyzje ppłka Tokarzewskiego poszły wbrew woli władz przełożonych".

Na nadchodzące dwudziestolecie krwawych zmagań garstki straceńców we Lwowie, wspartej następnie grupą ppłka Tokarzewskiego, warto przypomnieć następujące słowa generała Burhadt - Bukackiego:

„Leopolis semper fidelis.

Kiedy w listopadzie 1918 r. sypała się w gruzy potęga Austrii, kiedy nad światem powiał zew wolności ludów, złośliwość wroga gotowała nam jeszcze jeden cios. Bolesny, w samo serce godzący...

Obudziły się orły lwowskie. Garstka szaleńców porwała się do czynu. Młody i stary, bogaty i biedak, student, ulicznik i kobiety — wszyscy stanęli w jednym szeregu..."

Nie dali Lwowa! Lwów! Jedyne polskie miasto — kawaler orderu „Virtuti Militari"! **Wude.**

TYM CO ODESZLI

I.

Szary krajobraz plami zieloność parków i ogrodów: oto miasto, narastając tysiącami domów — szarych, białych, czerwonych wciska się w garby wzgórz, zakwitające parkami i ogrodami. Miasto serdeczne, w herbie noszące dumny napis: **semper fidelis** — Lwów.

Dwa punkty górują nad miastem, zajmując szczyty rozłożystych pagórków — dwa punkty, dwa symbole: nienawiści i zgody braterskiej — wspaniała, przepojona bizantynizmem cerkiem św. Jura i wyniosły, pracą Smolki usypany kopiec Unii Lubelskiej. Pomiędzy nimi, jak gdyby pomost pojednania z krwi przelanej, znaczy się setkami krzyżów — **cmentarz Obrońców Lwowa.**

II.

Dawno opadły już liście. Zwiędnięte — złote, żółte, zielone, czerwone, — szeleszcząc pod stopami, miotane wichrem jesiennym, kołyszą się na wietrze, wędrując alejami za lada podmuchem.

Wystrzela w niebo kolumnada, odcinając się barwą płowego piaskowca od czarnego tła odartych z zielonych liści konarów drzew, wrasta w ziemię, potężnieje, wrzyna się w jesienny lazur, przesłonięty szarą tkanką listopadowej mgły.

Czernią się, świecąc metalowymi tabliczkami, ustrojone zeschniętymi wianuszkami krzyże na grobach, otaczając półkolistym wieńcem kolumnadę. Sterczą krzyże, zwykłe drewniane krzyże, jeden obok drugiego. Nazwiska, data śmierci, ozdabiają tabliczką — będąc akcesorami bohaterstwa. Czasami nazwisko, datę i miejsce śmierci zastępują proste, wielomówiące słowa: żołnierz nieznany. To wszystko...

Między kolumnami prześwietla miasto. Wyryty **napis na frontonie głosi chwałę tych, co odeszli... na zawsze,** co krwią swoją przypieczętowali dumne i zaszczytne godło rodzinnego miasta: semper fidelis.

Lwy podpierają kolumny, dzierżąc w łapach tablice: „Tobie Polsko, zawsze wierny" brzmią napisy.

Zawsze wierny...

Odparcie dziczy hajdamackiej pod wodzą Chmielnickiego, odparcie ataku ukraińskiego potwierdzają dewizę Lwowa. Na tablicach marmurowych plącze się litania nazw miast i miasteczek. Nazwy bliskie, znajome, szeleszczące kartami historii: rok **tysiąc dziewięćset osiemnasty — pamiętne dni listopada.**

Opodal Grób Nieznanego Żołnierza. Granitowa płyta przygważdża skromniutką trumnę z garścią popiołu: z jakiego wzięto Cię pobojowiska?... Więdną zielone wieńce, uschły białe i czerwone róże, wiatr łopoce różnobarwnymi wstęgami, na których zarysowywują się złocone zgłoski: pamięci bohaterów.

Tu leżą dowódcy. Mączyński, Iwaszkiewicz — nazwiska zacierają się w pamięci potomnych, stając się symbolami dni cierpienia i chwały, przemawiając patosem wielkości.

„Polegli za Polskę"...

U stóp kaplicy — sanktuarium wolności, po obu stronach arkad znajdują się groby ochotników cudzoziemskich, którzy swe życie oddali za wolność — naszą i waszą. Płaskorzeźba, przedstawiająca lotnika, gotowego do odlotu, zdobi grób Amerykanów: to lotnicy ochotniczej eskadry im. Tad. Kościuszki— trzy nazwiska.

„To American Heroes Who Gore Thier Lives For Poland 1919 — 1920", brzmi napis. To Heroes — bohaterom...

Okryta trójkolorową banderą płyta z urną dalekiej ziemi francuskiej zawiera sporo nazwisk. Staję przed płytą i odczytuję napis:

„Aux Heros Francais morts en defendant les Frontiéres de la Republique Polonaise 1918 — 1920".



fot. PAT

W uszach dźwięczą słowa Marsylianki. Patrzę na płytę nagrobną, umysł opanowuje myśl natrętna:

— Tu spoczywają Ci, którzy oddali swe życie dla obcych. A dziś... Dziś po dwudziestu zaledwie latach Francja, ta sama, bohaterska Francja opuszcza swą sojuszniczkę Czechosłowację... Jakże to pogodzić z tą płytą, która okrywa zwłoki francuskich bohaterów... Jak obco i sztucznie brzmią słowa Marsylianki...

Biją dzwony, gdzieś w dali, w mieście biją dzwony — w święto umarłych. Ktoś odczytuje głosem mocnym, twardym słowa wyryte na płycie grobowca. Wiatr świszcze, zagłusza... Mocny, męski głos recytuje wezwanie, brzmiące jak rozkaz:

„Na wiosny idącej gody
Ująwszy w rękę swój młot,
Wykuje jeden dzień młody
I jeden najwyższy lot"

Wiatr świszcze, zagłusza... Gdzieś w dali biją dzwony... Padają słowa twarde, dźwięczące jak stal...

III.

Wracałem. Przede mną kipiało gorące miasto, przelewając się gwarnym tłumem, płynąc światłami latarni i kaskadą neonów.

Tam — zostawiłem ciszę i spokój. **Konrad Kossacki.**



KOŃ SZABLA I HONOR RYCERSKI

Ach, beliniacy! Było ich wpierw siedmiu. Zebrali się w Krakowie, wzięli siodła na ramiona, złote, rycerskie ostrogi do ręki, szable przypasali i nim jeszcze Austria zdecydowała się czymś poprzeć swą wojenną notę do Rosji, już oni buszowali za Krakowem, po „obcym" kraju.

Czymżeż był ten historyczny pierwszy patrol porucznika Beliny? Czyż nie legendą, legendą z krwi i kości, nieco awanturniczą, zawadiacką, buńczuczną, lecz właśnie jakżeż żywą! Wołowej skóry by nie starczyło, by opisywać, jak to w siedmiu rwali beliniacy na szwadrony, szwadronami uderzali na pułki i dywizje — jak to z szablą w ręku, konia udami ściskając, z czakiem Poniatowskiego rycerzy, jechał taki beliniak, w stylu nie Komendanta, lecz swego ukochanego rotmistrza, a oczy mu się do wszystkiego paliły. Pierwsi byli oni do wywiadów, do szaleńczych zagonów, pierwsi w każdej potrzebie, do tańca i różańca.

A jak to było z tymi końmi pierwszego patrolu? Bez żadnych ceremonii. Stał sobie jakiś piękny konik na łące, trawę skubał, może własność jakiego k. und. k. leutnanta, lub (broń Boże) sztabskapitana — mało to tych beliniaków obchodziło. Podchodzili, domacywali, w zęby koniowi zaglądali i pytali:

— Koniu, czyj ty?

Koń nic.

Ha, skoroś niczyj, to chodź do polskiej kawalerii. Bylibyśmy chyba bez serca, gdybyśmy tu zostawili ciebie na pastwę jakichś lejtnantów, czy też sztabskapitanów. I służył taki konik w kawalerii Beliny i służył dobrze, bo u Beliny wszystko musiało iść po linii jego życzeń i rozkazów. Gdzie piechoty nie można było użyć, gdzie artyleria nie nadążyła, tam szedł rotmistrz Belina, venit, vidit, vicit.

Była w tej kawalerii, w tym jednym początkowo szwadronie, sama młodzieńcza doskonałość. Był honor rycerski, błyskiem szabel poparty. Było zżycie i przyjaźń, wypróbowane w tysięcznych szarżach, w chwilach głodu i beztroskiego życia. Była buta i wyzwanie, zadzierżystość z wariacką odwagą. Było piękno w strojach nie polowych, lecz jakby z romansu, w czerwonych rabatach i srebrnych sznurach, w mundurach pamiętających Samosierrę i Elsterę. Był wreszcie humor. Nie ten zjadliwy, wyrafinowany, lecz bezpośredni, prosty i cudny przez swą rubaszność, śmiech szczery, żołnierski.

Czegóż trzeba było więcej beliniakom?

Wodza swego mieli blisko, jechali z nim strzemię w strzemię, pili wspólnie strzemiennego, mieli swego Komendanta, któremu salutowali dwoma palcami do wysokiego czaka, obracali się w towarzystwie zgranym, zajmowali się końmi - kochankami swymi i „robili" Polskę nie żmudnie, nie od podstaw, lecz własną, niezaprzeczoną przez nikogo romantycznością. Koń i szabla — tu blisko; Komendant — kochany a tajemniczy, prosty w żartach a odległy geniuszem; Polska — gdzieś na horyzoncie, idealna, prawie nierealna. Oto było ich życie. Oto było życie Beliny.

Pasował on do tej zadzierzystej kompanii, jak oni

pasowali do niego. Sam ich zresztą wyszukiwał, sam fasował mundury, pierwszy był w bitwie, ostatni w spoczynku. Kochali go towarzysze, a był przecież wśród nich sam Sieroszewski, Orlicz-Dreszer, Grzmot - Skotnicki, Wieniawa - Długoszowski..., wielu jeszcze, których nie zapominamy.

A sam Belina...?

On to w sierpniu czternastego roku udaremnił mobilizację w powiecie jędrzejowskim, przetrwał całą kampanię legionową, wojnę polsko - bolszewicką, on to właśnie ofiarował Komendantowi na Wielkanoc dziewiętnastego roku kochane Wilno i dzierżąc je w swym ręku oddał dopiero polskiej piechocie. Te czyny, „res gestae", charakteryzują go może najlepiej. A można być pewnym, że ze swymi zawadiakami legionowymi, z tym 1 pułkiem ułanów, rozbiłby w proch i w pył barbarzyńską „kon - armię" Budiennego. Pułkownik Belina był wszak typem polskiego zagończyka.

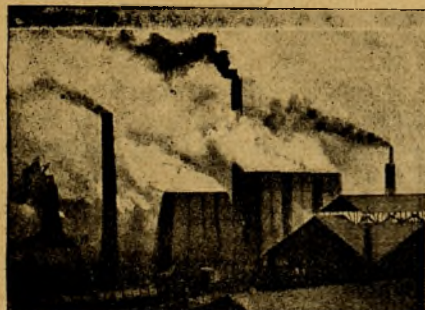


Kawalerzysta z oddziału Beliny.

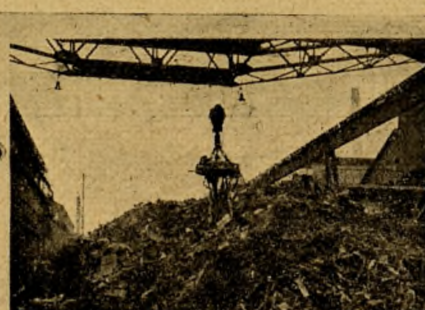
Wymownymi słowy wielkość czynu i żołnierza - kawalerzysty określił Kaden Bandrowski:

„Trudy, walki cierpienia, rany, śmiech, przynoszą sławę żołnierzowi. Belina miał rzecz droższą od sławy. Był ukochanym oficerem Wodza".

Ryszard Pomirowski.
Warszawa Gim. Batorego







W NAJMŁODSZEJ POLSCE

Komitet Redakcyjny „M. N." chcąc umożliwić Koleżankom i Kolegom bezpośredniość przeżyć, związanych w przyłączeniem Zaolzia do Polski, dalej chcąc nawiązać kontakt z młodzieżą szkół średnich w Cieszynie i Orłowej, wysłał kolegę, którego reportaż podajemy poniżej. Redakcja.

Dziwny trochę tytuł: „Najmłodszej?" Najmłodszej — kiedy ziemia prastara, piastowska — śląska. W jednym ze swych rozlicznych wierszy, niestrudzony wierszopis, jeden z ostatnich Mohikanów drugorangowej młodopolszczyzny, Henryk Zbierzchowski, przyrównawszy Zaolzie do najmłodszego dziecka, z trafną prostotą rzekł, że dziecko najmłodsze kocha się najgoręcej...

Jest magnes w tym słowie: ZAOLZIE. Jest ładunek uczuć i wspomnień rozwichrzonego wczoraj.

— Zaolzie? — pyta „pani Orbisowa" chętniejszym niż zwykle tonem — chętnie pana poinformuję...

— Zaolzie — mówi pan konduktor i w niewyspane oczy nabiera szacunku.

I pociąg przekroczywszy ów most, który ongiś dzielił a dziś spaja, trajkoce jakąś inną niż zwykle melodię. Tesin est mart, vive Cieszyn! Na dworcu cywile z czerwonymi opaskami na rękawie — ciche ale zasłużone mrowie kolejarzy. Na twarzach wytatuowanych zmęczeniem znać, że po tamtem niezupełnie jeszcze wrócili do siebie. **W Cieszynie otwarcie dziś nowego gimnazjum!** Idą w pochodzie panienki z figlarnie nałożonymi berecikami. Idą chłopcy w granatowych mundurkach. Idą i niosą szczęście na twarzach. A w górze — chorągwie klaszczą w fałdy z uciechy. A w górze — niebo się rozpruło niepogodne i sypie złoty kurz słońca na tę gromadkę po wiedzę pielgrzymującą.

— Wagony pękate jak walizy. Huczące młodzieżą ule na kółkach. Z każdego miasteczka, z mieściny najmniejszej, złożony pod obuchem tornistra na pół — jak scyzoryk, wyjeżdża co rana mały „pierun" śląski, aby jak najwięcej Polski do serca i mózgu zgarnąć. Rozmawiam z nimi chciwie. Nacieszyć się ich widokiem nie mogę. Kochane smerdy!...



Młodzież Zaolzia wita Marszałka Śmigłego Rydza fot. P.A.T.

Leoś Lose dopiero co ze szpitala wyszedł. Obok Józek Janko. Obaj z Liceum Pedagogicznego. Opowiadają mi o

bohaterskim nauczycielu

ś.p. Józefie Hejkowskim. Było tak: powszechnie lubiany, czterdziestodwuletni profesor gimnastyki i instruktor P.W., w owych dniach gorących demonstrował klasie IIb granaty. Nieszczęście chciało, że między ćwiczebnymi znalazł się ostry. Podczas manipulacji w ostatniej chwili spostrzega wykładowca niebezpieczeństwo. Granat już syczy-... Nie można go wyrzucić oknem: okno zakratowane. Nie chcąc narażać uczniów, bohaterski profesor rzuca się w kąt izby. Tam odwrócony do chłopców plecami, kurczy się we dwoje i przyciska granat do piersi. Zaciekawiony nagłą ucieczką wykładowcy do kąta, wybiega z pierwszej ławki Oswald Hilla (z Lutyni) i zagląda profesorowi przez ramię... Następuje przeraźliwa detonacja! Granat rozrywa na strzępy profesora i ucznia. Kilku jeszcze chłopców odnosi lżejsze rany. Bohaterski profesor ocala jednak swoją śmiercią życie natłoczonej klasie. Strach pomyśleć, coby się stało, gdyby nie panując nad sobą, wypuścił granat z rąk — między uczniów!...

Milczymy chwilę po tej smutnej opowieści. W zamyślenie nasze wdziera się głos konduktora. Konduktora świeżoupieczonego. Poznać to zaraz po wołaniu. Stacje wykrzykuje za gorliwie i za głośno. Cieszy się swoją nową funkcją. Cieszy się nową czapką. Cieszy się każdym biletem, podawanym przez pasażerów do przedziurkowania! Jak tu dobrze i przyjemnie wśród tych zapalonych ludzi! Twarze dobre, poczciwe. Na peronie między flagami uwija się straż kolejowa. Chłopcy jak lale. „Orłowa — żegnajcie koledzy, wysiadam..."

„Velká iluse" —

nejlepsi film posiedni sezony, mestske zvukove kino w Orlové (Báańsky Dúm) — wisi strzęp plakatu na płocie. Trudno się nie przyczepić myślą do tych słów znamiennych: „Velká iluse..." O velká, velká... Nie tą iść trzeba było drogą, pobratymcy, nie tą... Samiście winni dziś sobie. Niedźwiedź sowiecki odwrócił się grzbietem, a mocarstwa zachodnie (gdzie hygiena stoi tak wysoko...) postąpiły hygienicznie: umyły rączki... Ze szczerym współczuciem oglądam ofisze „Narodni armada..." Te apele, w których, co drugie zdanie, rozpaczliwe słowo: „VYTRVEITE!..."

W Orłowej Czechów dość dużo. Tu był ten klin, którym wbili się w naszą ziemię. Co odważniejsi jeszcze pozostali. Na szybie okna wystawowego jeden z kupców czeskich wywiesił napis, roszczący sobie zarozumiałe pretensje do języka polskiego:

„Sprzeda się tanio sprzęty tego sklepu może i s towarym ale przewzięcie towaru nie jest zmuszone".

Jak nie jest zmuszone, to nie — idźmy dalej. Do sławnego gimnazjum. Do tych młodych

orłów z Orłowej.

Gimnazjum stoi na górze. Skrobię się wraz z gromadami. Gromady ciągną na wpisy. Dziś zapisuje się polskie dziecko do polskiej szkoły! Babinki stłoczone przed drzwiami patrzą na kręcących się korytarzami profesorów jak na papieży. Ino patrzeć jak podbiegną i zaczną ich całować po rękach... Dzieciom wpełzł na twarze rumieniec wzru-

Wicepremier Kwiatkowski w Trzyńcu fot. P A.T.



szenia. Co elegantsze przyszły w tatulowych, długich kapotach... Kochany widok!

Pan **dyrektor Feliks**, choć strasznie zapracowany, **znajduje trochę czasu i dla „Młodego Nurtu"**. Potem rozmawiamy z sympatycznym matematykiem p. Zuczkiem, który niedawno wrócił z czeskiego wojska...

Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego zanosi się już na trzydziesty rok chlubnego żywota. Czytam księgę pamiątkową, wydaną w r. 1934 z okazji 25-lecia zakładu. Odżywają wysiłki ks. Józefa Londzina i Jerzego Cińciały; wędrówki od Annasza do Kaifasza działaczy tamecznych, wstręty różnych świętych magistrackich, no i — ostateczny sukces pierwszego dyrektora gimnazjum Jana Jarosza. Wojna światowa krzyżuje piękne plany. Dyrekcję w tych ciężkich czasach obejmuje p. Feliks, obecny dyrektor. 4 marca 1915 r. ginie śmiercią bohatera uczeń kl. V Jan Greń, który zaraz na początku wojny wstępuje jako ochotnik do legionów polskich. Po czeskiej nieuczciwości z r. 1919 przeżywa gimnazjum ciężkie chwile. Dyrektora z częścią grona internowano. Budynek zajęło wojsko czeskie. Ale dzielni pedagogowie nie dają się. Nadchodzą tak ciężkie chwile, że dyrektor sypia nocą w sali dyrekcji, profesorowie w pracowniach i klasach: bursę polską zajmują obcy. Gimnazjum mimo przeszkód pracuje wzorowo, co poświadczają wszyscy wizytatorzy. Po długich a ciężkich staraniach w 1933 r. Czechosłowacka Rada Ministrów zgadza się przejąć gimnazjum na etat państwowy. **Jaki udział brali uczniowie w ostatnich wypadkach?** Trzeba być obiektywnym: taki, jaki mogli. „Akcją" zajmowali się starsi. Gromada gimnazjastów przekradła się na polską stronę i tu odbywała przeszkolenie w obozie w Hermanowicach. Słyszę śmiech dziewczęcy — sygnał, że gimnazjum jest koedukacyjne.

Nowa orka

zapowiada się wspaniale. Przybyło gimnazjum w Cieszynie (pałac ze szkła!), przybędą: w Orłowie b. czeskie), Boguminie i Frysztacie. Kandydatów do niebieskiego mundurka wielu — zatrzęsienie.

Wybiegam z gimnazjum wywabiony „gwarem gwoździ".



Min. Beck przemawia **Fot. P.A.T.**



Harcerki polskie z Karwiny witają wojsko **Fot. P.A.T.**

Szyby drżą od tej zachwycającej młockarni. Koncert nóg żołnierskich. Sunie ubagnecona ściana. Dzieciaki pootwierały usta w zachwyceniu, zahypnotyzowany melodią butów idę wzdłuż tej zielonej ściany.

Oto i rynek. „Kompani-a-a... stój! — warczy groźnie pan kapitan i ściana wrasta z łoskotem w bruk rynku. Jeszcze trochę musztry, podziwianej przez pół miasta i — „w kozły - broń!" Za chwilę żołnierze się rozchodzą w obrębie dwudziestu kroków. Jeden z nich zwraca się do moludy, kręcącego się opodal: „Synuś, skocz po „Raritasa!"...

Na to odkleja się od ściany chmara małych knajdrów i wali na wyścigi do żołnierza. Portasy trzyćwierciowe ino furgocą około krzywych nóżek...

„Ja przyniosę, panie żołnierzu — ja!! — dopraszają się zaszczytu i wyczekująco kurczą zadarte noski. Co za rzewnie roześmiany widok, ta chmara biegnących przez rynek gzubów, z których żaden nie wyższy od parasola!... Jak szybko

się kopnęli, tak szybko wrócili — zadyszani swoim szczęściem, niebieskimi ślipkami dopraszując się pochwały... Widzi to pan kapitan i głaszcze najgorliwszego szkraba po siwej od słońca czuprynie. Młody „pierunek" zaczerwieniony wije się pod tą głaskaniną, spłoszone oczka spuściwszy na zakurzone, pana kapitanowe buty z cholewami...

W Boguminie na dworcu

porządki, że aż się kurzy. Ktoś z miotłą, ktoś z kubłem. Z napisu **„Buffet"**, wyskrobują jedno „f". Baby w czerwonymi opaskami (kolejarki) czyszczą szyby i z wielką zajadłością wydrapują ze ściany paznokciami czeskie rozkłady jazdy. Jakiś ktoś z pietyzmem nalepia nowy rozkład jazdy — polski...

Wychodzę na miasto. Tramwaje — jak wszędzie na Śląsku. O dziwo — z klaksofonem automobilowym.

Dworzec bogumiński — o ile wewnątrz przedstawia się nieźle, a tyle zewnątrz — woła o pomstę do... pana premiera. Brudny, bardzo brudny i odrapany, trza go będzie czym prędzej odnowić! Jest noc. Szukam hotelu: daremny trud. Ulicami — żołnierze z bagnetami i policja. Nazajutrz — o 6-ej rano otwierają swe podwoje fryzjernie. Sklepy spożywcze zaś — w dwie i pół godziny później. Coś tu się nie zgadza. Najpierw przecież — żołądek, potem — elegancja... A propos żołądek — je się tu byle co i płaci za to niebyle co. Cena rośnie w stosunku odwrotnym do jakości. W miasteczku — dużo jeszcze chaosu. Dla pewności każdy każdemu się kłania, nie wiedząc, czy nie ma przyjemności z warszawskim „niebylekim"... Strasznie byłem zdziwiony, gdy onej nocy tu mi zasalutowano, tam się ukłoniono, tam znów broń sprezentowano... Uczułem nawet coś w rodzaju szacunku do swej osoby. **T. N.**

W GOŚCINIE U MORCINKA

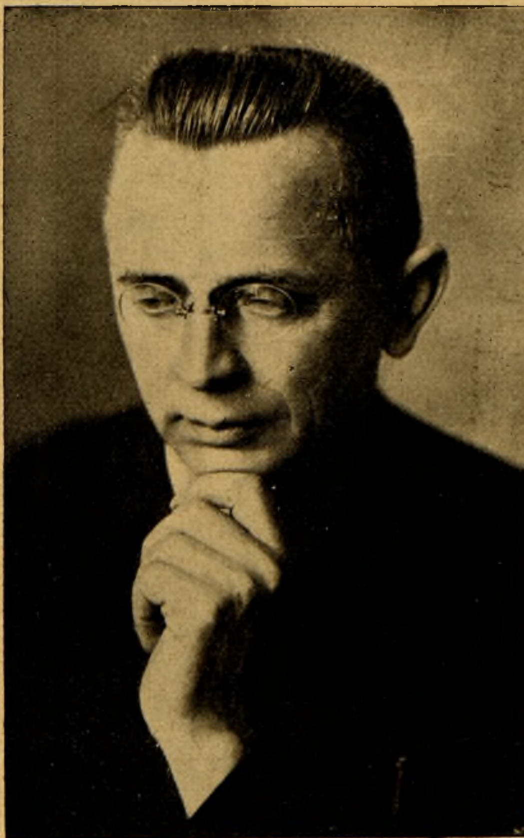
W powrocie z Zaolzia nasz wysłannik — kolega został przyjęty przez znakomitego powieściopisarza GUSTAWA MORCINKA, którego artykuł i fotografię z dedykacją zamieszczamy w tym numerze.

Skok do Skoczowa.

Śląsk i Morcinek. Tych słów oderwać od siebie nie sposób. Być w Skoczowie a nie widzieć Morcinka, to tak samo jak być w Warszawie i nie kupić Kolumny Zygmuntowskiej...

Kochanego pana Morcinka Gustliczka najroztomilejszego tu znają wszyscy. Pół miasta ofiaruje się zaprowadzić mnie do „domu w słońcu". Przy pięknie wyasfaltowanej drodze kucnął sobie wśród zieleni domek, a w nim zamieszkał pan Morcinek. I przy biurku pisze piękne książki. Autor „Gołębi na dachu" — jak wszystkim zapewne wiadomo jest kierownikiem szkoły powszechnej. Na tę szkołę, jej troski i radości każe patrzeć społeczeństwu. Jest ogólnie lubiany przez starych i młodych. Zawodowi nauczycielskiemu wpaja szlachetną wiarę w misję. I w tym wielka jego zasługa społeczna. Śląsk dużo mu zawdzięcza. Przez karty autora „Wyrąbanego chodnika" przewija się gorące umiłowanie tej pięknej ziemi.

„Młodemu Nurtowi" ulubiony autor naszych czytelników nie szczędzi słów uznania, co wypada mi zainkasować rumieńcem skromności. Co pisze? Ano — powieść z życia emigracji, dopiero co bowiem wrócił z zagranicy. W przedeniu ujrzenia światła dziennego zbiór felietonów z życia szkoły, pod znamiennym tytułem: „Miasteczko nad rzeką". Nie trudno się domyśleć, że chodzi tu o Skoczów. Nadto pracuje p. Morcinek nad przeróbką powieści **„Wyoranych kamieni"**.



„Nurtowi" pismu
w [illegible] składane
Szczęść Boże!
G. Morcinek
Skoczów 21.5.38.

Pan Morcinek jest na tyle uprzejmy, że daje mi swą podobiznę, wyrażając jednocześnie zbolałą troskę, że fotografia nie wypadła po jego myśli. Poczuwam się wobec tego do niegrzecznego zauważenia, że literaci a gwiazdorzy filmowi to jednak nie to samo...

W takiej to atmosferze gawędzimy sobie z gościnnym panem Morcinkiem w gustownie przystrojonym mieszkanku.

O sile oddziaływania talentu pisarskiego autora „Serca za tamą" świadczy taki fakt: Kiedyś przekicała w zadyszeniu wielkim jakaś jejmość do siostry pisarza p. Morcinkównej, z prośbą — żeby Heczko nie umierał... Heczko to dogorywujący na gruźlicę bohater jednej z ostatnich powieści Morcinka, drukowanej na łamach Katowickiego dziennika... Przychodzi natychmiast na myśl ta babula, która dała na mszę św. za duszę Longinusa Podpibięty. Oto się nazywa serdeczny stosunek czytelnika do pisarza!

Gadu — gadu, a tu za 10 minut pociąg do Bielska. Pan Morcinek, równie dobry automobilista jak i literat, wyprowadza swoje auto z garażu i — zaczynamy pełen amerykasńko - filmowy, emocji wyścig z pociągiem.

Pan Morcinek wygrał!

Choć — kto wie czy maszynista — pilny czytelnik jego powieści, umyślnie nie chciał ulubionemu autorowi sprawić przyjemności?...

Tad. N. (Warszawa).



GRANICA WĘGIERSKO-POLSKA



W dniach październikowych Polska odzyskała 800 km^2 i 250 tys. ludności Śląska Zaolzańskiego. W ten sposób cały obszar państwa naszego wynosi prawie 390.000 km^2, a liczba ludności 35 milionów.

III. Rzesza zyskała od marca br. bez porównania większe obszary, bo 580.000 km^2, zamieszkałe przez 10 milionów ludności.

Co ważniejsze jednak, wskutek b. poważnego okrojenia Czechosłowacki, rząd praski, opuszczony przez Anglię i Francję, znalazł się pod bezpośrednim i silnym wpływem Niemiec. Równocześnie Niemcy dążą usilnie i wyraźnie do rozszerzenia swych wpływów na Słowację, a przywódców ukraińskich na Rusi Podkarpackiej nęcą mirażem stworzenia z Rusi Podkarpackiej kraju autonomicznego, z czego w przyszłości miałaby powstać wielka i niepodległa Ukraina.

W ten sposób Polska miałaby zostać okrążona od południowego wschodu. W tej sytuacji osiągnięcie wspólnej granicy między Polską a Węgrami ma znaczenie o wyjątkowej doniosłości. Wspólna granica z Węgrami, z którymi nie mieliśmy nigdy sprzecznych interesów, stwarza korzystną dla Polski polityczną przeciwwagę, w stosunku do naszego zachodniego sąsiada, a Węgrom daje korzyści polityczne i gospodarcze. Dla uzyskania wspólnej granicy polsko - węgierskiej trzeba załatwić dwie sprawy: zwrócić Węgrom ziemie, należące do Czechosłowacji, a obejmujące miasta Bratisławę, Nitrę, Lewice, Luszenec, Rożniawę, Koszyce, Użhorod, Mukaczewo i Berehowo. Ziemie te liczą ogółem 1.072.000 mieszkańców, w czym 840.000 Węgrów, 145.000 Słowaków, 30.000 Rusinów i 57.000 Niemców.

Druga sprawa to zagadnienie Rusi Podkarpackiej. Ruś podkarpacka długości 200 km, szerokości 50 do 60 km zamieszkuje 725 tys ludności w tym 445 tys. Rusinów, 110 tys. Węgrów, 90 tys. Żydów, 30 tys. Rumunów, 26 tys. Czechosłowaków i 10 tys. Niemców.

W pierwszej sprawie prowadzono **rozmowy w Komarnie** między delegacją węgierską a słowacko - karpatorusińską bez rezultatu, a to wskutek opornego stanowiska rządu praskiego. Wobec tego rząd węgierski zwrócił się do rządów W. Brytanii, Francji, Niemiec, Włoch i Polski z notą, w której domaga się zmuszenia Pragi do ustępstw.

Jeżeli chodzi o Ruś Podkarpacką to Czesi nadali tej ziemi autonomię, powołując na stanowiska ministrów tzw. Karpatorusinów, chcąc w ten sposób utrzymać ten kraj, jako bastion wysunięty w stronę Rosji sowieckiej. Odcięcie Rusi od Węgier spowodowało w tym kraju głęboką nędzę, gdyż uboga ludność straciła możność zarobkowania na żyznych ziemiach węgierskich. Ten fakt ma znaczenie decydujące, jeśli chodzi o nastroje całej masy ludności ruskiej, która nie została jeszcze obudzoną do życia politycznego przez przywódców ukraińskich.

Powrót Rusi Podkarpackiej do Węgier oznaczałby **stworzenie wspólnej granicy polsko - węgierskiej, co leży w interesie pokoju światowego.** Ta wspólna granica pozwoliłaby stworzyć silną barierę polsko - rumuńsko - węgierską przeciwko Rosji, umożliwiając stworzenie Równowagi w tej części Europy.

E. S.

ZA WIELKĄ ŻYCZLIWOŚĆ I OKAZYWANĄ SYMPATIĘ, ZA ŻYWIOŁOWE MANIFESTACJE NA RZECZ POLSKI, SKŁADAMY CAŁEJ MŁODZIEŻY WĘGIERSKIEJ SZCZERE WYRAZY NAJWYŻSZEGO UZNANIA.

SAMOTNOŚĆ

Kiedy moją jaźń cisza ogarnia, kiedy mnie oblewa
Jakąś dziwną, subtelną miękkością, złotem i nagością,
Zawisa na kryształowej ampli, na śnieżnym suficie
I w gardle staje kością.

Na kilimie splatają się w tańcu kraty i trójkąty,
Ściany rozlewają się błękitem, brązem dziwne sprzęty.
Firanki stają się nagle ślubnym, kremowym welonem,
A ja w kącie stoję blady i przejęty.

Gdy cisza w sercu białe srebro bez przerwy wydzwania
I gdy w głowie winem jak wulkan pęka i rozsadza skronie,
Gdy w flakonach blade kwiaty pachną wielką ciszą
Czekam by ktoś krótko, metalicznie zadzwonił.

Kiedy cisza wyściela mi serce upojnym błękitem,
Kiedy wieczór mi szepce do uszu melodie przedziwne,
Kiedy wszystko zastyga w bezruchu śmiertelnie szarawym
Chciałbym widzieć Twój uśmiech i Twoje oczy niebiesko - naiwne.

R. H. (Lwów)

Ustokrotnione oko MIKROSKOP

(Ciąg dalszy).

Główną wadą nowoczesnego mikroskopu jest to, że patrzyć można tylko jednym okiem, i tow dodatku na odwrócony obraz preparatu. Lecz i temu zaradzono w ostatnich czasach. Poprostu skonstruowano **nasadkę dwu – okularową**, którą można zastosować do każdego mikroskopu. (ryc. nr. 4) Działanie tej nasadki oparte jest na zasadzie załamywania promieni świetlnych przez pryzmaty. W rezultacie, przy zastosowaniu tego pożytecznego dodatku, otrzymuje się nie tylko dostępny dla obu oczu, lecz i prosty, nie odwrócony obraz. Naturalnie upraszcza to pracę laboranta, czy też badacza, który nie potrzebuje myśleć o żadnych, że tak powiem, postronnych zasadach.

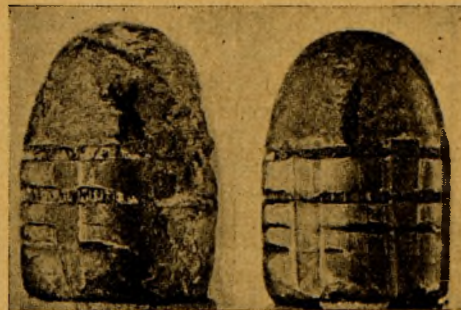


Ryc. 5
Specjalista rusznikarz bada kule rewolwerowe za pomocą mikroskopu porównawczego

Mikroskopu dwu - okularowego nie należy, w żadnym wypadku, mieszać z **mikroskopem - preparacyjnym** (rys. nr. 4) przeznaczonym dla bakteriologów i przyrodników, o składającym się z dwóch oddzielnych tubusów. Taki mikroskop ma „wycelowane" obiektywy w jeden punkt. Patrząc widzimy plastyczny (wypukły) obraz badanej rzeczy, a więc możemy poznać jej przestrzenną budowę.

Co innego znowu jest **mikroskop porównawczy** (ryc. nr. 5). Tu następuje odwrócenie, opisanego poprzednio, procesu. **Mianowicie** z dwóch obiektywów otrzymujemy obraz w **jednym** okularze. Obrazy dwóch przedmiotów „zlewają" się w jeden, przez co łatwo można zauważyć różnice, zachodzące między, weźmy przykładowo, dwoma nitkami, jednej z jedwabiu naturalnego, a drugiej ze sztucznego. Na rycinie nr. 5 widzimy fachowca - rusznikarza, który porównuje dwa pociski rewolwerowe (ryc. nr. 6). Jak to łatwo zauważyć, na obu kulach rysują się identyczne ślady powstałe przy przelocie przez lufę, mimo, iż lewy pocisk jest uszkodzony przez uderzenie o coś twardego (prawdopodobnie o żebra nieszczęśnika, który trafił akurat pod ostrzał). O mikroskopie, jego odmianach, zastosowaniu i przydatności możnaby napisać niejedną, grubą książkę, a co dopiero mówić o krótkim artykule. Proszę mi wybaczyć, jeśli coś znanego moim Czytelnikom pominąłem w swoim szkicu. Lecz jest, prócz woli Redaktora, jeszcze jedno przykazanie publicysty: „Nie wyczerpuj nigdy tematu, gdyż wyczerpiesz Czytelników".

Dlatego to zabieram się do pożegnania. Muszę jednakowoż zwyczajem moich gości, wrócić z przedpokoju i powiedzieć jeszcze jedną rzecz. Mianowicie o tym, jak to się liczy ilość czerwonych ciałek krwi, przy analizie robionej osobom anemicznym. Rzadko kto wymigał się od tej przyjemności, sądzę więc, że Czytelnicy znają ten przyjemny spacer naczczo. Przechodzi się do doktora, który z wdziękiem przykłada ofiarze automatyczny ołówek do palca. Trzask — i już wyciśnięto człowiekowi kroplę krwi. Autor, gdy był dzieckiem, miał dziwny wstręt do automatycznych ołówków, raz bowiem, grzebiąc na biurku znajomego lekarza strzelił sobie w rękę takim właśnie chytrym instrumentem. Ale wracajmy do tematu. Otóż pobraną krew rozcieńcza się specjalnym płynem tzw. roztworem Hayema. Następnie na tafelkę szklanną, zacpatrzoną w głęboką na jedną dziesiątą (0,1) milimetra, wanienkę nalewa się rozpuszczoną krew. Wygląda jak wycinek z papieru milimetrowego, jest bowiem podzielona na 256 maleńkich kwadracików (16X16), każdy taki kwadracik ma objętość jedną czterotysięczną milimetra sześciennego. Gdy krew **zastygnie** po kilka minutach, laborant czy doktór liczą przez mikroskop czerwone ciałka krwi we wszystkich 256 kwadracikach. Następne czynności są tylko liczeniem; mianowicie dzieli się sumę, zauważonych ciałek przez liczbę kwadracików, aby otrzymać przeciętną. Następnie mnoży się ten rezultat przez 4000 (pojemność kwadracika) i 200 (stosunek rozcieńczenia.

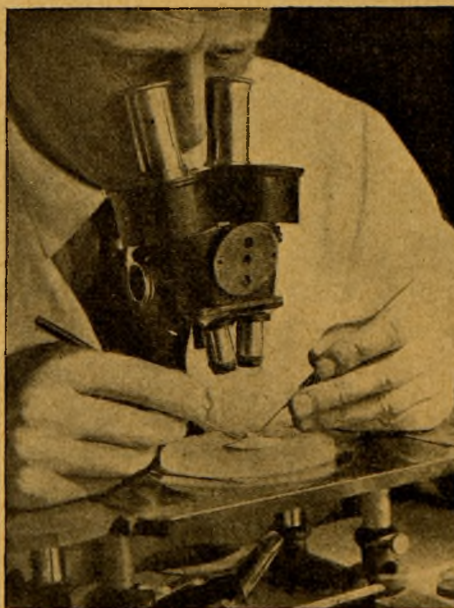


Ryc. 6
Dwa pociski rewolwerowe dostarczone w celu porównania. Identyczne prawie ślady lufy dowodzą, że obie kule pochodzą z tej samej broni

W wyniku tych skomplikowanych liczeń otrzymujemy ilość czerwonych ciałek, zawartych w jednym milimetrze sześciennym krwi. Im więcej jest tych ciałek, chociaż jest ich miliony, tym rzadsza i „gorsza" jest krew, no i człowiek choruje, jest słaby itp.

Wprost trudno sobie wyobrazić, aby dzisiejsza nauka, czy to będzie medycyna, botanika, metaloznawstwo, lub chociażby kryminologia, mogły się obyć bez mikroskopu.

Mikroskop oddał już, i nie raz jeszcze odda ludzkości nieopłacone zasługi. Pozwoli bowiem **rozszerzyć** ludzką wiedzę o świecie rzeczy i istot nieskończenie małych, — pozwoli przeniknąć mikrokosmos.



Ryc. 4. Mikroskop preparacyjny daje obraz plastyczny

Wacław Podhorski - Okołów

WYCHOWANIE WARTOŚCIOWEGO OBYWATELA

Czy i jakie są mierniki wartości obywatela w służbie społecznej i narodowej? — Obiektywnych mierników nie ma. Wartość człowieka jest zagadnieniem najgłębiej moralnym — jedynym miernikiem jest tu sumienie. Miernik to oczywiście najbardziej subiektywny.

Ocena sumienia może być, i często bywa zgoła odmienna, niż ocena zbiorowa, czyli to, co nazywa się opinią publiczną. I nie zawsze opinia publiczna ma przecież rację.

Historia może wydać, sąd o tym, czy dany czyn był dla Narodu pożyteczny, czy był szkodliwy — nie zawsze potrafi ocenić jego moralną wartość. Nie zawsze potrafi ocenić wartość społeczną sprawcy. Ale nawet i co do oceny samego czynu historycy często zmieniają zdanie, mimo znajomości konsekwencyj tego czynu.

Trudna jest więc często ocena czynu, którego jesteśmy świadkami, tym trudniej ocenić wartość człowieka, który czynu tego dokonuje. Jeśli historycy nie mogą z wielką pewnością ocenić znaczenia jakiegoś faktu, który w przeszłości miał miejsce, o ile trudniej znaleźć nam obiektywne mierniki wartości czynu, którego jesteśmy świadkami.

Ileż trudniej, tym bardziej, ocenić wartość społeczną czynu, który mamy dopiero dokonać.

Czyn, społecznie dobry, może być uczyniony nawet ze złych pobudek.

Dopiero pewien łańcuch czynów może nam dać pewne wskazówki, co do intencyj sprawy. Ale jak ocenić intencje?

To są sprawy, jak powiedzieliśmy, najbardziej osobiste.

Uczciwość osobista, odwaga i odpowiedzialność myśli i czynu, pracowitość, patriotyzm itd., itd., to są te rzeczy, których się winno od każdego obywatela wymagać. Gdybyśmy mogli je móc u każdego łatwo sprawdzić może sprawdzić nie możemy, ale możemy starać się je wytworzyć...

Jaki jest sens tych rozważań, szkicu rozważań zaledwie?

Jest to najistotniejsze zagadnienie każdego narodu. Naród jest zbiorowiskiem ludzkim. Ludzie więc stanowią o jego trwaniu i rozwoju. Stąd na pierwsze miejsce wysuwa się zagadnienie wychowania następców tych, co teraz są w pełni sił, wychowanie młodzieży na wartościowych obywateli.

Chodzi o to, jak wychowywać? Jakie wzory, mierniki, mają kształtować i urabiać przyszłych obywateli. Twierdzę, że nie ma obiektywnych mierników. Mogliby być nimi wybitni bohaterowie narodu — ale każdy działał w swej, innej epoce. Nowe czasy, nowych wymagają ludzi i innego często podejścia do rzeczy wewnętrznych.

Wszelkie uznane, „obiektywne" mierniki mają tendencję stania się szablonami.

Wartość stałaby się więc formą, nie treścią. A o treść chodzi.

Treść wewnętrzna człowieka, to sprawa najistotniej indywidualna, tym silniejsze więc społeczne jej znaczenie.

Bo instynkt społeczny uważamy za najpełniejszy wyraz dobrze rozumianego indywidualizmu.

Pełny rozwój jednostki nie jest możliwy przy zastosowaniu szablonów. Opierać się musi o najgłębsze uświadomienie sobie przez jednostkę m. in. jej obowiązków wobec społeczeństwa i narodu, a więc i wobec siebie.

Ideałem by było, by każdy mógł dochodzić sam do pożądanych wniosków. Będą to bowiem wnioski najbardziej własne, przekonania najistotniej zrosłe z duszą, najbardziej uczciwe.

Reasumujemy:

Jeżeli chcemy mieć najlepiej zapewnioną przyszłość Narodu, winniśmy postawić na uczciwe samowychowanie i samokształcenie młodzieży. Młodzież jest zdrowa— przy uczciwych wskazówkach sama najlepiej rozwinie swój charakter, przy uczciwym poznawaniu rzeczywistości najlepiej rozwinie swój umysł.

Uczciwości chcemy więc wymagać, uczciwości najgłębiej pojętej od tych przede wszystkim, co chcą młodzież do samowychowania i samokształcenia namówić i jej tę pracę nad samym sobą ułatwić.

Bo taką będzie Rzeczpospolita, jakimi będą jej obywatele.

Kaz. H. (Lublin)

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego pismem z dnia 21 października 1938 r. Nr II Pr. 16859/38 dało zezwolenie na abonowanie dla bibliotek uczniowskich „Młodego Nurtu", dwutygodnika młodzieży szkolnej.

ŁĄCZNOŚĆ nerwem wojska





„Bez łączności nie ma i być nie może skoordynowanej pracy wojska, nie ma złączenia wysiłków krwawych żołnierza dla odniesienia zwycięstwa i krew ludzka często leje się darmo".

— — — — — — — — — — — — —

„Łączność jest niezastąpioną koniecznością i bez łączności wojsko jako siła nic nie jest warte".

(J. Piłsudski, 1929).

Od zarania dziejów ludzkość poszukiwała sposobów praktycznego porozumiewania się na odległość. Potrzeba ta równolegle z rozwojem cywilizacji, wysuwała się poprzed wieki na jedno z pierwszych miejsc i była zaspakajana rozmaicie.

Do przesyłania wiadomości ustnych, pisemnych i symbolicznych stosowano w starożytności początkowo gońców pieszych i konnych (Egipt, Asyria, Grecja, Rzym, Persja, Chiny), gołębie i jaskółki (Indie, Egipt) zwłaszcza w podróżach morskich, sygnały świetlne (ognie, pochodnie, lustra) i dźwiękowe (bębny, trąby, dzwony, wystrzały).

W średniowieczu oraz w w. XVI i XVII na skutek gwałtownych przewrotów, wywołanych na tle religijnym, politycznym i gospodarczym, dalej na skutek, wynalezienia prochu, druku, adkrycia Ameryki i drogi do Indii Wschodnich, wzrosły znacznie potrzeby, w zakresie łączności nie tylko w sprawach ogólnopaństwowych, ale również prywatnych ogółu ludności. Powstają więc pierwsze urządzenia pocztowe, obejmujące wymianę korespondencji, ruch przesyłek i podróżnych (poczta dyliżansowa i okrętowa). Z biegiem czasu zasięg działania tych urządzeń zwiększał się coraz bardziej, przybierając charakter poczty międzynarodowej i zamorskiej. Poza tym była w użyciu sygnalizacja semaforowa, polegająca na tym, że na wyniosłych miejscach budowano wieże z ruchomymi, z daleka widocznymi ramionami, których położenie odpowiadało umówionym znakom, wyrazom lub zdaniom. Sygnalizacja, o której mowa, oddała duże usługi Napoleonowi. W Polsce była stosowana w r. 1930 na trasie Warszawa — Modlin. Wspomnieć należy jeszcze o „wiciach", znakach symbolicznych, rozsyłanych w dawnej Polsce w celu zwołania pospolitego ruszenia.



Sygnalizacja tarczami

Jeśli chodzi o łączność na polu bitwy, sprawa przedstawiała się w owych czasach bardzo prosto. Dowodzono głosem (komendą), skinięciem szabli lub buławy, a w ostateczności przekazując rozkazy gońcami i adiutantami. Ale bo i formy walki nie były skomplikowane. Zwartość szyków, możność bezpośredniego wglądu w bieg wypadków, obejmowanie własnych oddziałów wzrokiem, słuchem i głosem, upraszczały technikę dowodzenia.

Dziś jest inaczej.

Wzmożony i silnie pulsujący rytm współczesnego życia zmusza do opanowania czynnika czasu i przestrzeni. Stąd konieczność zapewnienia sprawnej i szybkiej łączności dla porozumienia się z każdego miejsca w dowolnym czasie, bez względu na odległość, i w szybkim tempie. Potrzeby te istnieją zarówno w czasie pokojowym, jak i podczas wojny, w każdej dziedzinie życia, zwłaszcza w zakresie: polityki, administracji pracy, propagandy, bezpieczeństwa publicznego, zdrowia, handlu, przemysłu, gospodarki, służby pocztowej, nauki i kultury, dowodzenia, mobilizacji, obrony przeciwlotniczo - gazowej łączności z zagranicą itp.

Z usług łączności korzysta dziś w szerokim zakresie nie tylko każdy obywatel (użyteczność publiczna), ale i władze, instytucje oraz siły zbrojne. Nowoczesna wojna, jak każdy czyn zbiorowy, wymaga ścisłego zespolenia poczynań wszystkich wykonawców. Cechą dzisiejszego boju jest rozluźnienie szyków wszerz i w głąb, rozproszenie zbrojnych mas w terenie na skutek ognia i działanie manewrem na dużych przestrzeniach. Dowodzenie w takich warunkach jest rzeczą niezmiernie trudną, możliwą tylko przy użyciu technicznych środków łączności. Służą one do koordynacji wysiłków sił zbrojnych, działających na lądzie, morzu i w powietrzu, zapewnienia możności współdziałania, rozkazywania, meldowania i informowania, jednym słowem — dowodzenia. Brak łączności pociągał za sobą zawsze przykre następstwa — bo klęskę, a w najlepszym wypadku krwawe straty. Na odwrót dobra łączność przyczaniała się zawsze do zwycięstwa. Uczy tego historia wojen.

Techniczne środki łączności, uruchomione od przednich linii bojowych aż do głębokich tyłów włącznie, tworzą sieć połączeń, przenikającą, niby system nerwowy, żywy i wielki organizm wojsk walczących. Łączność techniczna ma swą wartość tylko wówczas, gdy jest sprawna, ciągła i na czas zorganizowana.

Jakimi środkami utrzymuje się łączność techniczną?

Jest ich wiele, od najprostszych do najbardziej nowoczesnych i skoplikowanych. Każdy z tych środków przychodzi do głosu z większym lub mniejszym powodzeniem. Na ogół dzielimy je na cztery zasadnicze grupy. Do pierwszej zaliczamy środki żywe, a więc: gońców pieszych i gońców na wszelkiego rodzaju środkach lokomocji (koń, rower, motocykl, samochód, drezyna, czołg łódź, narty, samolot, kolej), gołębie pocztowe (wypuszczone z jakiegokolwiek miejsca zawsze wracają do gołębnika macierzystego, przenosząc pisemne wiadomości) i psy meldunkowe, odpowiednio wyszkolone. Do grupy drugiej należą środki, działające na zasadzie elektrycznej, mianowicie: telefon, telegraf (aparaty morsa, juza, szybkopiszące dalekopisy) i radio, które znajduje dziś szerokie zastosowanie praktyczne głównie w lotnictwie, marynarce i broni pancernej.



Sygnaliści aparatem świetlnym przy pracy

Grupa trzecia obejmuje środki sygnalizacji ręcznej (tarcze, chorągiewski), świetlnej (rakiety, aparaty świetlne, tzw. „migacze", ognie bengalskie, reflektory, światła sygnałowe), wzrokowej (dymy, semafory, pociski sygnałowe, płachty do łączności z lotnikiem) i dźwiękowej (syreny, gongi, dzwony, gwizdki, wystrzały itp.).

Wreszcie **grupa czwarta,** do której należą środki specjalne (pomocnicze): pociski meldunkowe, lotnicze meldunki ciężarkowe, samoloty z podchwytywaczem menldunków, przegazywacze meldunków, względnie rozkazów i balony wolne lub na uwięzi.

Z nowych środków ma dużą przed sobą przyszłość i widoki zastosowania dla celów łączności: telewizja, umożliwiająca obserwację pola walki na odległość, telefonografia (przekazywanie drogą radiową obrazów na odległość) i łączność na promieniach podczerwonych (telefonia świetlna).

Wszystkie wymienione środki coraz bardziej się doskonali i przystosowuje do zmieniających się potrzeb i warunków użycia na polu walki. Dużo też uwagi poświęca się zagadnieniu mechanizacji i motoryzacji, które znacznie podnoszą wydajność łączności technicznej i ruchliwość poszczególnych środków.

Słów kilka należy się tym, których bronią — niezależnie od karabina — jest różnorodny sprzęt techniczny i którzy uruchamiają łączność dla potrzeb sił zbrojnych. Żołnierz łączności jest potrzebny wszystkim i wszędzie. Jego praca jest służbą ciężką, nadzwyczaj odpowiedzialną, ofiarną i samodzielną.

Narażony więcej niż inni, odosobniony, zdany nieraz na własne siły, musi posiadać duży zasób sił moralnych, by wytrwać do końca na wyznaczonym posterunku. Jako żołnierz - technik musi być wyszkolony w dziedzinie ogólnowojskowej i technicznej (specjalizacja). Jest zaufanym i świadomym pomocnikiem dowódcy w jego pracy wojennej.

Podstawą armii jest dusza prostego żołnierza. Ta znamienna i głęboka myśl wielkiego Marszałka znajduje pełne potwierdzenie w odniesieniu do żołnierza łączności.

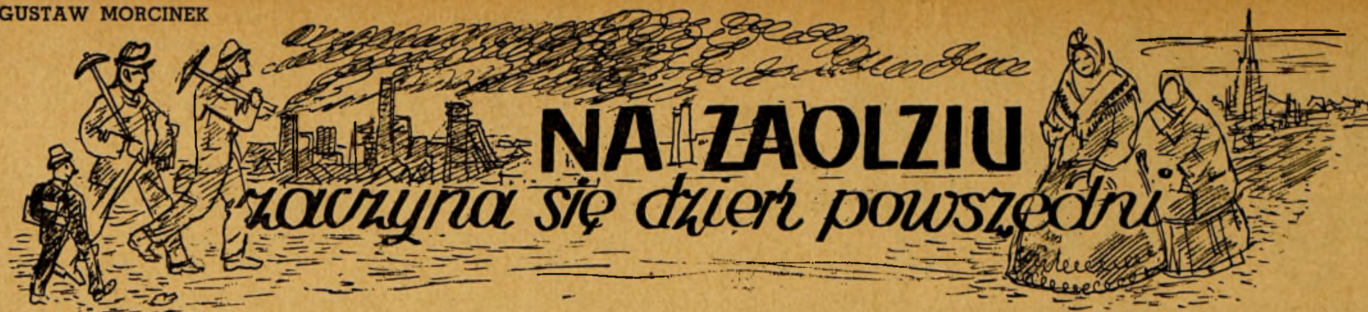
Naczelne, w dobie powszechnego wyścigu zbrojeń, hasło „naród pod bronią", od zrealizowania którego zależy pogotowie obronne kraju — wymaga między innymi wydatnego zwiększenia kadr przyszłych żołnierzy - techników. W odniesieniu do odcinka łączności, zasilimy jej kadry sposobiąc się technicznie przez czynny udział w p.w. łączności, krótkofalarstwie, radioamatorstwie i przyswajaniu wiadomości z zakresu elektrotechniki, tele - i radiotechniki oraz przedmiotów pokrewnych.

Myślą przewodnią naszych w tym kierunku poczynań niechaj będzie niezaprzeczalna prawda życiowa: „Bez łączności nie ma siły i dowodzenia, a tym samym zwycięstwa!".

Miecz. War.



Zdjęcia na prawo i lewo: radiostacje w polu



NA ZAOLZIU zaczyna się dzień powszedni

Na Zaolziu zaczyna się znowu dzień powszedni. Pozornie taki sam szary dzień jak przed tygodniem, jak przed dwoma tygodniami, jak szarymi były dni w ciągu tamtych dwudziestu lat. Zdawałoby się, że się nic nie zmieniło. Boć dymią znowu te same kominy co ongiś, pracują te same maszyny, ludzie ci sami od groni jabłonkowskich aż po fabryki bogumińskie.

A jednak jak wiele się zmieniło.

Dzisiaj to już nie ten szary powszedni dzień jakim był przed drugim października. Ogromna, trudna do pojęcia radość przewaliła się jak słoneczna zawierucha przez całe Zaolzie i rozparła się w chropowatych sercach śląskich. Radość ta przybliżyła człowieka do człowieka, niebo uczyniła bardziej błękitne, słońce bardziej złociste, uśmiech bardziej serdeczny, a przede wszystkim nadała życiu ludzkiemu na Zaolziu stokrotniejszą wartość, a pracy ludzkiej stokrotniejsze uradowanie.

W ciągu całego tygodnia, w którym wojska polskie odbierały Zaolzie Czechom, zaludniały się wszystkie ulice i drogi nieprzebranym pogłowiem śląskim, by obchodzić najpiękniejsze święto w swym życiu. Szare i skupione oczy ludzkie syciły się do niepamięci widokiem polskiego żołnierza, dłonie wyrywały do radosnego powitania, sypały się kwiaty pod stopy wybijające triumfalny rytm zwycięskiego marsza, a serce, to chropowate serce śląskie rosło w piersiach, tamowało oddech i przemieniało się w najpiękniejsze serce ludzkie.

Rozrzewniający był widok polskich chorągwi powiewających z kalenic chociażby najbiedniejszej chałupy, wzruszał widok rzucanych kwiatów pod stopy polskiego żołnierza, porywał widok szarych, skupionych oczu śląskich, gorejących wewnętrznym płomieniem i zachodzących ukrywanymi łzami. Lecz najwznioślejszym stał się ten dzień, w którym Ślązak rozpoczął swój dzień powszedni, swoją szychtę dla Polski. W dniu tym bowiem każde uderzenie młotem czy kilofem, każde odwalenie skiby ziemi i każda literka, wyłowiona oczami dziecka śląskiego w polskiej książce szkolnej, układały się w pojęcie: P o l s k a, serdeczne.

Wszak od dziś zaczyna się nowy dzień powszedni na Zaolziu. Górnik w zagłębiu karwińskim rozpoczął dzisiaj nową szychtę w kopalni. Kiedy przyjdzie na szyb i sięgnie po swoją lampę, dojrzy w jej światełku nie gromniczny blask, którym dotychczas z trudem rozrzedzał mroki sztolni, lecz dostrzeże w nim drobinkę słońca z polskiego nieba, którą odtąd poniesie w śląskie podziemia. Kiedy ujmie kilof czy rękojeść maszyny - wrębiarki, i kiedy zacznie się wrębywać w caliznę węglową, pomyśli z ulgą, że najdrobniejszy kęs odłupanego węgla — to polski węgiel, a jego wysiłek — to polski a niczyj inny wysiłek. A kiedy spotka się w ciemnym chodniku ze swoim kamratem, zachłyśnie się utajoną radością, gdyż kamratowe pozdrowienie: S z c z ę ś ć B o ż e!... będzie mu najpiękniejszym polskim pozdrowieniem, na które czekał tyle lat.

Kiedy hutnik trzyniecki spojrzy na szczyty swych wielkich pieców hutniczych, a zobaczy na zadymionym niebie ich rozstrzęsione płomienie, pomyśli z ulgą, że to płomienie, w których wytapia się ruda dla Polski, jak jego serce wytapiało się w ogniu dla Polski. A kiedy stanie pod ryczącym wielkim piecem czy przed czeluścią martynowskiego pieca, dojrzy wyciekające strugi żelaza i stali. A wtedy znów pomyśli z ulgą, że każda drobinka stali i każda kropla płynnego żelaza przeznaczona dla jego śnionej Polski. A kiedy mozolić będzie się w skwarze nad przetaczanymi blokami rozżarzonego żelarza w walcowni, pomyśli z ulgą, że z jego trudu Polska powstaje.

A kiedy gazda śląski wyjedzie z pługiem w pole i zacznie odwalać ciężkie skiby lemieszem, lub kiedy rozpocznie błogosławiącym ruchem sypać ziarno w ziemię, pomyśli bez ochyby, iż z tego polskiego ziarna wyrośnie z polskiej ziemi na Zaolziu nowa Polska.

— Szczęść wam Boże, gazdo!... — zawoła ktoś idący drogą.

Gazda podniesie zdumione oczy, a serce jego zadygoce ze wzruszenia, bo usłyszał polskie pozdrowienie. Od dwudziestu lat nikt z obcych przechodników nie pozdrowił go tak pięknym polskim słowem.

— Dej Panie Boże!... — odpowie, a wtedy po raz niewiedzieć który olśni go radosne odkrycie, że to nie sen, żeć to istotnie polską a niczyją inną ziemię uprawia, i że to polskie ziarno rzuca w ziemię, i że z tego ziarna polski chleb będzie.

Cieszyn, Frysztat, Jabłonków — to najpiękniejsze miasta na ziemi, a Trzyniec i Karwina — to najbardziej bohaterskie miasta na ziemi. Inne miasta mogą być uważane za piękniejsze i za bardziej bohaterskie, lecz to nie zmieni wartości naszych miast za Olzą. Nie zmieni również wartości tych bohaterskich wsi śląskich, co między owymi miastami rozłożone.

Kiedy dzisiaj stanąć na szczycie Czantorii lub Stożka co to jeszcze przed tygodniem były granicznymi kopcami, i kiedy spojrzeć w dolinę Olzy, naszej świętej

rzeki Śląska, czy polecą zdumione i urzeczone i nie wierzące w najpiękniejszą dolinę na ziemi polskiej. Oto w jej głębi srebrzy się Olza, po drugiej stronie ciemnieją n a s z e gronia beskidzkie z Kozubową, Jaworowym i Połomem na czele. Oczy lecą jak ptaki obłąkane szczęściem i wciąż jakby z niedowierzaniem kołują. Boć trudno pojąć, trudno oswoić się z myślą, że to naprawdę wolna ziemia polska.

Zdumione oczy wszystkich widzą. Oto na skłonie Kozubowej stary baca beskidzki swoje owce pasie w ostatku jesiennego słońca, oto przez dolinę śpieszy zdyszany pociąg, nad Olzą migoce srebrem pług odwalający skiby, trzynieckie huty ścielą dymy pod niebem, a na krańcu ziemi karwińskie kominy podparły niskie niebo i również dymią.

Śląsk nad Olzą powrócił do swojej pracy. Nawet to dziecko odrabia swą radosną szychtę. Oto siedzi nad otwartą książką polską, wyławia z trudem pojedyncze literki i układa je w radosnym trudzie w radosne słowo. To samo dziecko, co oto przed tygodniem jeszcze niejednokrotnie musiało kształtować swoje serce w obcej mowie i obcym duchu.



Górnik

Śląsk znowu pracuje jak dawniej, lecz w swą pracę wkłada już swoje serce. Podczas swego największego święta na przestrzeni kilku wieków wyszedł z podziemi kopalni, opuścił na chwilę swoje stanowisko przed spustami wielkich pieców hutniczych, odłożył kilof i młoty na drobną chwilę, zatrzymał maszyny, oparł pług o ścianę i wyszedł na drogę radować się własnym zwycięstwem i witać idące wyzwolenie.

Potem wrócił do pracy z uczuciem sprawowanego żniwiarza, który ostatek snopa zwiózł z pola pod dach. Dwadzieścia lat trudził się, ostatek sił zgarniał, by nic nie utracić z tej spuścizny, którą mu Bóg powierzał, a którą mu nakazał nieuszczkniętą przynieść Polsce.

Teraz powrócił do swej pracy, poszedł na swoją codzienną szychtę, zakasał rękawy, ujął kilof, przeżegnał się i rozpoczął pracę najpiękniejszym pozdrowieniem polskim: S z c z ę ś ć B o ż e!...

Na Zaolziu zaczął się nowy, polski dzień powszedni.

Gustaw Morcinek

PROMOCJE OFICERÓW

Szkoły Podchorążych wszystkich rodzajów broni obchodziły około połowy października swe doroczne święta: promocje oficerów. **W uroczystej promocji oficerów kawalerii w Grudziądzu uczestniczył P. Marszałek Śmigły-Rydz.**

Z przemówienia Naczelnego Wodza, skierowanego do nowomianowanych podporuczników, wyjmujemy krótki, b. charakterystyczny wycinek:

„Charakter męski, charakter prawdziwie żołnierski czuje się dobrze dopiero wtedy, gdy ma trudności do zwalczania, wtedy, gdy musi przeszkody łamać, a nie wówczas, gdy ma życie wygodne, łatwe.

Podchorążowie, nie szukajcie nigdy łatwości życia kosztem obowiązku, nie szukajcie nigdy wygody życia kosztem honoru".

Ważkie słowa, rzucone na nową życia drogę, mają moc i siłę tworzenia przyszłości. Nie są więc i nam obojętne.

Równie uroczyście odbyły się promocje we wszystkich innych Szkołach. W Szkole Podch. Piechoty Pana Prez. Rzplitej i P. Marszałka reprezentował min. spraw wojsk. gen. T. Kasprzycki.



Marszałek promuje prymusa w Szkole Podch. Kawalerii — fot. P.A.T.

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

Mimo ogólnego odprężenia na Zachodzie i przesunięcia się tam punktu ciężkości zainteresowań na sprawy wewnętrzne, głównie zresztą związane z następstwami ostatniego konfliktu i umowy monachijskiej, Polska ciągle jeszcze znajduje się na drodze przemian, jakim ulega w swej karpackiej części mapa Europy. Uwaga nasza skupia się w dalszym ciągu na zagadnieniu Czechosłowacji, a raczej już na jego fragmentach, mianowicie sprawie Rusi Podkarpackiej i Słowacji. Po ostatnich „nauczkach", udzielonych nam przez Francję i Anglię, tym konieczniejszym stało się wzmocnienie naszej pozycji międzynarodowej tak, ażeby nie pozostać w tyle za naszym zachodnim sąsiadem i zawsze móc przeciwstawić jego potędze odpowiednio silne własne atuty. Jednocześnie wobec wzmagającego się ciążenia Niemiec na wschód, jesteśmy zmuszeni do postawienia silnej i skutecznej tamy ich ekspansji wzdłuż linii Karpat, gdyż w przeciwnym razie wpływy niemieckie na Zakarpaciu i Ukrainie tak wzrosną, iż będziemy mogli się uważać za całkowicie niemal otoczonych jednolitym sznurem, którego zaciśnięcie wokół Polski zależeć będzie tylko od jednego rządu t.j. niemieckiego. Od tego zaś nie możemy spodziewać się miłych, lecz przeciwnie — przykrych niespodzianek. Zabezpieczenie przed nimi widzimy i widzieć jedynie możemy w stworzeniu silnego

bloku polsko - węgiersko - rumuńskiego,

który opierając się z jednej strony o Bałtyk, z drugiej zaś o Morze Czarne, stanie się potężną zaporą dla apetytów niemieckich. W dążeniu do urzeczywistnienia tej idei wysuwamy przede wszystkim żądanie

wspólnej granicy polsko - węgierskiej,

które zresztą stawiane jest z niemniejszą stanowczością po tamtej stronie, jak tego dowiodły chociażby ostatnie 200-tysięczne manifestacje w Budapeszcie pod pomnikiem gen. Bema (20 października). Granica ta miałaby nas łączyć z bratnim narodem węgierskim na odcinku Rusi Podkarpackiej, która zbrojnie usuwając ze swego terytorium resztki władzy czeskiej, domaga się przyłączenia do Węgier i zupełnego zerwania z Pragą. Odbywające się pod powyższym hasłem powstanie na Rusi przybiera formy coraz ostrzejsze, Czesi jednak mimo, że widzą własną przegraną i ewakuują nawet zrewoltowane tereny, nie czynią nic, ażeby doprowadzić do pokojowego porozumienia z Węgrami. Po zerwaniu bowiem przez Czechów **rokowań w Komarnie,** gdzie omawiano wspólnie przyszłą granicę czesko - węgierską, żadne poważniejsze rozmowy nie zostały właściwie podjęte i rząd węgierski zmuszony został wszcząć szeroką pośrednią akcję dyplomatyczną oraz jednocześnie postawić sprawę w formie ultimatum, popartego mobilizacją kilku roczników. Akcja dyplomatyczna rządu węgierskiego spotkała się z żywym poparciem przede wszystkim w Warszawie i Rzymie, zainteresowanych najbliżej w spełnieniu żądań węgierskich, podczas gdy stanowisko Niemiec nie jest zupełnie jasne, a raczej polega na pozornym popieraniu sprawy, przy faktycznym, ukrytym wikłaniu jej.

Na wzmaganie się sił węgierskich dość niechętnym okiem patrzyła początkowo Rumunia, obawiająca się, iż teraz Węgry wysuną w ostrzejszej formie, niż dotychczas sprawę mniejszości węgierskiej w tym kraju. To też Polska złączona z nią sojuszem, z Węgrami zaś wspólnotą dążeń i odwieczną przyjaźnią, a dążąca jednocześnie do stworzenia bloku wszystkich tych państw, miała trudną rolę do odegrania. Sprawa została jednak załatwiona ostatecznie w czasie specjalnie temu problemowi poświęconej **wizyty min. Becka u króla Karola rumuńskiego** w Galaczu w dniu 20 b.m., oraz jednoczesnej wizyty dyr. departamentu Łubieńskiego w Budapeszcie. Według ogólnego przekonania Polska doprowadziła do porozumienia między Węgrami i Rumunią za cenę przyznania tej ostatniej skrawka Rusi Padkarpackiej, przyległego do naszych granic wraz z linią kolejową: Delatyn—Rohów—Szige.

Ten sukces naszej polityki nie jest ostatnio jedynym. Osiągnęliśmy bowiem również

porozumienie ze Słowacją

co do przyłączenia do Polski niewielkich zresztą terenów, znajdujących się po tamtej stronie naszej południowej granicy. Żądania nasze pod tym względem dotyczą t. zw. **okręgu Czadeckiego** i graniczącej z nim na wschodzie **Orawy,** oraz — przede wszystkim **Spisza,** oczywiście tylko w częściach zamieszkałych przez ludność polską. Nie mają one jednak, co rząd słowacki zdaje się rozumieć, charakteru napastliwego, lecz przeciwnie — wypływają z chęci całkowitego uregulowania stosunków z naszymi sąsiadami na zasadzie sprawiedliwości. Toteż Słowacy, jakkolwiek nie przychodzi im to łatwo, i stawiają szereg ograniczeń, godzą się w zasadzie na naszą propozycję, podtrzymując w ten sposób nadal tradycję przyjaźni obu narodów.

Mimo, że tyle wielkich i niebezpiecznych zagadnień zostało załatwione pokojowo, świat bynajmniej nie przestał się krwawić. Trzy punkty zapalne:



Z gorących dni Węgier

Hiszpania, Palestyna i Chiny

znajdują się nieustannie w stanie wrzenia. Szczególnie na dwóch ostatnich odcinkach sytuacja jest bardzo napięta. Mamy tu do zanotowania zajęcie przeszło milionowego Kantonu (stolica Chin płdn.) przez wojska japońskie dnia 21 b.m. oraz — na drugim końcu Azji — zaostrzenie się walk w Palestynie, gdzie ostatnio wojska angielskie musiały formalnie zdobywać Jerozolimę.

Przechodząc od „egzotyki" do spraw wewnętrzno-polskich, należy w pierwszym rzędzie zwrócić uwagę na

przygotowania przedwyborcze

zarówno do Parlamentu, jak i samorządów. Kolegia wyborcze dokonały już bowiem wyboru kandydatów do Sejmu, z których po dwóch z okręgu, zostanie 6 listopada wybranych na posłów. Kandydatury te pozwalają już teraz zorientować się, że skład przyszłego sejmu będzie w stosunku do poprzednich znacznie zmieniony, a mianowicie w dwóch kierunkach: 1) wejdą ludzie nowi, nie zgrani jeszcze politycznie, 2) wejdzie duża ilość ludzi młodych (30—40 lat). Należy zatem przypuszczać, że nowy sejm znajdzie dość sił i energii, ażeby podołać trudnemu zadaniu — uchwalenia nowej ordynacji wyborczej. Jednocześnie z akcją wyborczą uwaga nasza skupia się w dalszym ciągu na sprawie

wcielenia Zaolzia

do całości organizmu gospodarczego i administracyjnego Polski, nastręczająca więcej, niżby się pozornie mogło zdawać, trudności i wymagająca tak z jednej, jak i z drugiej strony wiele wysiłku i dobrej woli. Ale i tu robimy znaczne postępy, czego dowodem najlepszym są niedawno wyrażone przez min. Kwiatkowskiego przekonania, iż „po okresie pierwszych trudności ziemie te oczekuje wielka przyszłość i wielki rozwój gospodarczy".

W historii Polski zatem październik 1938 roku będzie mógł być nazwany miesiącem tłustym i pomyślnym.

St. Leo.

JULIAN MASZYŃSKI-KRZEWIŃSKI

„PIEŚŃ — KARMICIELKA"

Przez podolski step ciągnął nieskończony sznur oddziałów pułku kresowej piechoty. Zmęczeni, zdrożeni żołnierze, poprzedzali przetrzebionymi batalionami w ciągłych bitwach z bolszewikami, ubogie tabory.

Pułk przerzucono z jednej strony Lwowa na drugą.

„Idziemy podobno na Budiennego" — szeptali sobie żołnierze, przewidujący plany sztabu generalnego.

Istotnie pułk ciągnął ku linii kolejowej i stacji, która wśród nagiej płaszczyzny stepu zaznaczała się sterczącymi ruinami byłego dworca.

Spośród innych utrapień żołnierzy, będących w ustawicznych marszach i potyczkach, głód w tej chwili był najbardziej natarczywym.

Na szczęście, oprócz pustych wagonów kilku pociągów, przeznaczonych do przerzucenia pułku z jednej strony frontu na drugi, na jednej z linii kolejowych stał pociąg „Cioci Imci" — powitany głośnym „Vivat!!" — zgłodniałych żołnierzy.

Bractwo imienia wielkiego, amerykańskiego filantropa, Hoovera, zorganizowało z miejsca doraźną pomoc zgłodniałej gromadzie piechurów. I wnet bataliony pułku, zbrojne w menażki, ustawiły się w długim, długim ogonku, przy wagonie, w którym urodziwa amerykańska „miss", odziana w biały kitel z ochronnym znakiem czerwonego Krzyża — rozdawała żołnierzom... kakao.

Trzech jedynych ochotników w tym pułku, (w cywilu artystów byłej sławnej operetki warszawskiej), nie wyróżniało się niczym spośród szarej braci żołnierskiej. W stalowych kaskach, nasuniętych na oczy, w zniszczonych mundurach, bez śladu na nich kokardek ochotniczych, brodaci, zarośnięci, w podartych butach — przypominali bardziej francuskich „poilus" z wielkiej wojny, niż popularnych aktorów stolicy.

Ci trzej w towarzystwie kaprala, który wraz z nimi został odkomenderowany na front z Kompanii Zamkowej, gdzie ochotnicy przechodzili pośpiesznie ćwiczenia — stanowili w pułku piechoty kresowej amatorski kwartet śpiewaków. Śpiewem swym umilali na froncie w nielicznych chwilach spoczynku od marszów i bitew — czas towarzyszom broni i sobie.

Kwartet ów i teraz, zrezygnowawszy z amerykańskiego kakao, zaczął na głodno wykonywać swój obfity repertuar.

Władysław Walter, władający wówczas świetnym basem, Józef Sendeski — pierwszy tenor operetki, kapral — zaadaptowany przez śpiewaków zawodowych, do kwartetu, jako baryton i drugi tenor, niżej podpisany — rozłożyli się w malowniczych pozach na gołej ziemi i zaśpiewali.

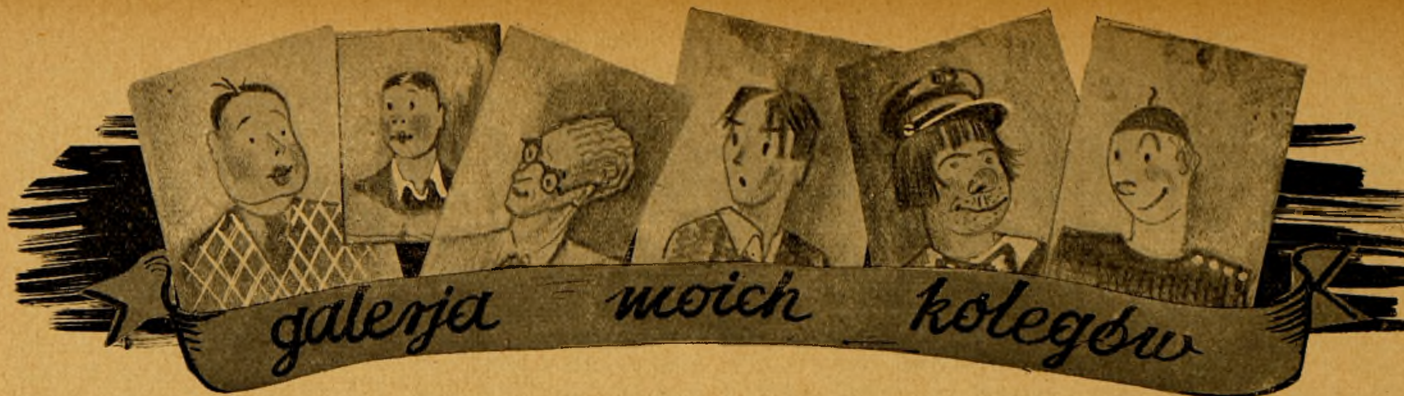
Słońce kłoniło się ku zachodowi, gdy egzotyczni goście z Ameryki, przedstawiciele „I. M. C. A.", wśród podolskiego stepu usłyszeli ze zdumieniem harmonijne, poważne akordy „Hymnu do nocy" Betowena.

Siostrzyczki amerykańskie i dżentelmeni w rogowych okularach wysypali się z wagonów i ciasnym kołem otoczyli śpiewaków. Coraz głośnie i z wzrastającym entuzjazmem oklaskiwano repertuar chóralny, na który złożyły się utwory: Moniuszki, Piotra Maszyńskiego, Leooncavalla, Szopena...

Żądano bisów.

Aktorzy nie szczędzili ich amerykanom, z podziwem zasłuchanym w artystycznie wykonane utwory sławnych muzyków przez obdartusów, zgłodniałych, zdrożonych, zarośniętych, w pośród bezbrzeżnego stepu, wśród ruin kresowego miasteczka. Dżentelmen z ekipy „Cioci Imci", wyglądający na szefa ekspedycji, poszeptał coś z „siostrzyczkami" i te natychmiast pobiegły do wagonów, a za chwilę naznosiły nam, (aby im Bóg dał zdrowie!), całe naręcze bismitów, wyśmienitych sucharów, puszek skondensowanego mleka, konserw rybnych i mięsnych, a wreszcie różnych dżemów i marmelad co nie miara.

Zanim pułk nasz znalazł się na pozycji pod Zadworzem „Pieśń — Karmicielka" — zastępowała ze znakomitym skutkiem intendenturę. A gorące mleko z „ryżem wydymanym", ryby i szynka na gorąco, oraz amerykańskie słodycze smakowały wyśmienicie nam, zarówno, jak i oficerom, którzy przeprowadzali ze znakomitym skutkiem dla tuszy przymusową kurację głodówkową czasu pamiętnej kampanii roku 1920-ego.



Cała rozmowa zaczęła się na nowo z chwilą, gdy przyszedł Stefan. Rozebrał się w poczekalni i wchodząc do pokoju krzyknął wesoło:

— Serwus!

Tadek wstał i zaśmiał się zadowolony. Cieszył się z przyjścia Stefana.

— Wiesz — rzucił w moją stronę — spotkałem go dzisiaj i zaprosiłem do ciebie...

— Pamiętasz Karola? spytałem.

— No, tak. Spojrzał na mnie z nietajonym zdziwieniem — dlaczego nie miał by go pamiętać.

— Pamiętam, więc co z tego? powiedział.

Bo ja za to spotkałem Karola — zwróciłem się do Tadka— ty Stefana, ja...

— Gdzie?

Zrobiłem nieokreślony ruch ręką — gdzie? to przecież było całkiem obojętne.

— Ee, Karol — zaczął Stefan — nie, nie lubiłem go, przecież jego nie można nazwać było kolegą w istotnym tego słowa znaczeniu.

Tadek kiwał głową na znak potakiwania.

— Karol pozował na... uczonego — ciągnął dalej Stefan.— Zajmowała go astronomia, pociągała i pasjonowała fizyka. Trzeba mu przyznać, że miał, jak to się mówi popularnie, „głowę" do nauk ścisłych. Nie zaprzeczycie chyba, że był najlepszym w klasie matematykiem i fizykiem. I cóż z tego, że był jakoby uczonym. Gdy jednak przyszło komuś pomóc, jakiemuś „matołkowi" — nie umiał, nie potrafił. Nie mógł bowiem zrozumieć, że nie każdemu łatwym się wydawało zasady fizyki czy reguły matematyczne. Uważał, że jednak przecież takie proste. A jednak, czyż można nazwać go kolegą, tak jak na przykład Zenka. Nie, bo Karol żył dla siebie, innym dawał z siebie mało albo prawie nic. I cóż mu z tego przyjdzie, że był najlepszym w klasie fizykiem czy matematykiem — nic! Trzeba umieć żyć, żyć, nie tylko dla siebie, ale i dla innych.

— Ale pomyśl — rzekł Tadek — taki na przykład Józek. Bez idei, nie wiedział po co żyje. Nie widział przed sobą żadnego, choćby nawet najmniejszego celu. Porównaj jego i Karola.

— Nie zgadzam się z tym, co mówisz o Józku — wtrąciłem. Wprawdzie w naszej klasie było dużo takich do „tańca i różańca", a właściwie do niczego, ale Józek nie, Józek się do nich nie zaliczał. On miał swoje zamiłowania, był bowiem melomanem. To pasowało zresztą do jego charakteru. Cichy spokojny...

— „Nie wadził nikomu" — zaśmiał się Stefan.

— ...nie wybijając się w naukach, miał swoję jedyną namiętność — muzykę. Znał się na niej. Kiedyś, w przystępie dobrego humoru, zaczął mi opowiadać o swych ukochanych fugach, sonatach, poematach muzycznych.

— Jakto, Józek? Niemożliwe — rzekł Tadek.

— Uczęszczał na wszystkie koncerty, można go było tam zobaczyć zasłuchanego, wniebowziętego, upojonego muzyką.

W sąsiednim pokoju grało radio. Płynęły tony.

— Pomyślcie — dodałem szeptem — tam za ścianą, przywarty do głośnika radiowego, wchłonięty w melodię, z wstrzymanym oddechem siedzi Józek ...słucha ...marzy...

— Każdy ma jakieś marzenia! brutalnie przerwał Tadek. Ja sam — dodał — chciałem zostać marynarzem. Ha, ha! zwykłe dziecinne marzenia, które się nigdy nie sprawdzają.

Milczeliśmy.

— Kazik, ten to gadał — powiedział po chwili Tadek, chcąc przerwać milczenie.

— Tak, jak ty! dociął mu Stefan, ale Tadek udając, że nie słyszy zaczepki ciągnął dalej. — Jego marzeniem było zostać znanym mówcą, politykiem. Na lekcjach polskiego, po odczytanym referacie, kiedy zaczynano dyskusję, prosił o głos jako ostatni. Z ironicznym uśmieszkiem na ustach, z ręką w kieszeni, krytykował, miażdżył słowami (tych było więcej) i argumentami swoich przeciwników. Mówił, bo chciał się wprawić, widział jakiś cel przed sobą.

— Dużo było w naszej klasie takich, którzy widzieli swoją przyszłość, jak np. Kazik — powiedział Stefan.

— Ale więcej tych — dodałem — co nie widzieli jakiegokolwiek celu w życiu.

— Masz rację — szepnął w zamyśleniu Tadek. — Takich było wielu. Poczem dodał głośno, mówiąc coraz szybciej, zapalając się:

— Ale powiedz, czy w życiu nie spotykamy wielu, bardzo wielu ludzi, którzy z chwilą, gdy zapewnią sobie kawałek chleba, nie tylko, że nie idą naprzód, lecz nawet cofają się wstecz. Biedni, szarzy ludzie, pochłonięci kłopotami dnia dzisiejszego, wspominając dzień wczorajszy, zapominają o ...jutrze.

Przerwał. Zegar z wolna zaczął bić, przerywając ciszę.

— Dziewiąta — stwierdził Tadek drewnianym głosem.

Leszek Bartelski

„Mietek"

LUBIĘ...

Lubię wieczory ciche we mgły otulone —
zdala od gwaru, zgiełku wielkich miast —
lubię, gdy mi śpiewają, drzewa rozszumione,
gdy niebo skrzy się od gwiazd.

Lubię, gdy mogę sam cichą godziną
z wspomnieniami rozmawiać — milczeniem
i słuchać, jak minuty za minutą płyną
w nieogarnione przestrzenie. —

Lubię, zdala od gwaru, zgiełku wielkich miast,
gdy już noc ciemna opuszcza zasłonę,
gdy już się zmrużą złote oczka gwiazd...
Lubię wieczory ciche, we mgły otulone.



LUDZIE PIĘKNI DUCHEM

TEODOR TYC

W 1931 r. wydano w Poznaniu pamiętniki Teodora Tyca.

Teodor Tyc zmarł w 31-ym roku życia jako docent Uniwersytetu Poznańskiego, świetnie zapowiadający się naukowiec, o którego krótkim, lecz **pełnym wewnętrznej treści**, życiu chcę napisać.

Mimo, iż do 23-go roku życia przebywał w Niemczech i matka jego była Bawarką, z domu ojcowskiego wyniósł silne przywiązanie do sprawy polskiej i pełne uświadomienie narodowe.

Na ideologii pracy dla Polski budował całą pracę swego życia.

Dzieciństwo i pierwsza młodość upłynęły mu w atmosferze zacisznego i przepojonego kulturą artystyczną domu. O tym okresie pisze o sobie: „Byłem w młodych latach królewiczem z bajki, częste choroby moje przykuwały mnie do łóżka, odstręczały od hałaśliwych zabaw i świeżego powietrza... Później, w te zaciszne kąty dzieciństwa, przesnute zapachami jabłek, pierników i zabawek, coraz głośniej i gwałtowniej poczęło się wdzierać życie". — Niektórzy z nas z własnego, zasnutego chorobą dzieciństwa wiedzą, jak silne i niezatarte piętno słabości wywiera ono na dalszych fazach jego rozwoju; jak trudno potem oprzeć się codziennym trudom życia, uczepić się jednego celu i dążyć niezmęczenie do jego realizacji. Wszystkie te trudności T. Tyc umiał pokonywać. Od razu na wstępie, po pierwszych ciężkich przejściach, stworzył sobie gorzką dewizę: „Wobec świata należy stać zamkniętym. Chłodna powłoka uprzejmej pogardy to najlepsza jeszcze broń; gdy trochę tylko wnętrza odsłonisz, zaraz ci je zabrudzą i splugawią".

Tak więc odgrodzony od świata — walczył z niezwykle ciężkimi warunkami (po stracie ojca w 23-cim roku życia utrzymywał rodzinę). Poza troskami materialnymi nękały go stale nawiedzające choroby. Mimo to, po powrocie do wolnej już Polski w 1919 r., osiadłszy na G. Śląsku, później w Poznaniu, skończył studia i zdecydował się na szczególnie trudną drogę naukową; od dzieciństwa w tym kierunku miał wyraźne zamiłowanie. Historia była ukochaniem całego życia.

Będąc z natury raczej uczuciowcem i nastrojowcem — wytężał wszystkie siły, aby wyrobić w sobie hart i wytrwałość w pracy. Nie dawał się nigdy porwać pięknym słowom i wzniosłym ideologiom; **sprawdzianu każdej wartości szukał w pracy.** Do tej ostatniej, jakiejkolwiek dziedziny życia by się tyczyła, zabierał się zawsze po gruntownym obmyśleniu planu, zebraniu i poznaniu materiałów.

Kochał życie i radość w nim; ale za jedyną, godną człowieka, uważał radość z pracy, z twórczości. **„Żyć, to nie znaczy myśleć, tylko działać,** i to nie bynajmniej na arenie wielkiej, tylko działać skromnie, jakbądź. Oto cała mądrość życiowa".

Wysoko cenił wartość człowieka. Zawsze też pracował nad tym, aby w sobie pewne wartości wyrobić i wiele energii kierował ku pracy wewnętrznej, wierząc, że „kto jest skupiony i głęboki w sobie, ten w gwarze targów występować może w całej pełni sił i przekonań". Nawet, gdy było mu bardzo źle, wysoko nosił godność własną: „nigdy na to się nie zgadzam, aby o mnie stanowiły podłe warunki, które od dwóch przeszło lat mię ścieśniają — to, że stać muszę na baczność przed chamami podłymi, że spełniać muszę wszystko, co mi bałwan taki każe — czy to może znaczyć, że jestem duszą niewolniczą? Nigdy takie przypadki o wewnętrznej wartości naszej nie decydują".

To, co niejednych może ku niemu pociągnąć — to niezwykła wrażliwość na piękno w każdej formie. Znał i cenił sztuki piękne, sam rysował już jako 11-letni chłopak, w czym wykazywał nieprzeciętne zdolności. A kartki z pamiętnika, zapisane wrażeniami z pobytu na wsi, z obcowania z przyrodą, należą do najpiękniejszych i najbardziej wzruszających.

Ktoś może zapytać, jakie było jego oblicza ideowe, jakie przekonania. Przekonania. — powiem — na wskroś polskie, a potem — demokratyczne, postępowe. Przy tym był konserwatystą — przywiązanym do tradycji i narosłej od wieków kultury, chcącym budować postęp na doświadczeniach przeszłości. I był bardzo, serdecznie, przywiązany do wiary katolickiej. Religijność ta była u Niego mądrą i głęboka, oparta na najgłębszych przemyśleniach i doznaniach.

Poza życiem osobistym, wewnętrznym — dużo wysiłków pochłaniały inne jego dziedziny, inne zainteresowania. Nie było kwestii, dotyczącej życia państw, społeczeństw, narodowości, jakiejkolwiek gałęzi nauki, a szczególnie kwestii, wyrosłej na polskim gruncie, której by nie przemyślał, nie prześwietlił swą bystrą i niesłychanie chłonną inteligencją.

Szczególnie żywo zajmował się określaniem pewnych cech charakterystycznych naszego narodu. Nie uszła Jego uwagi: ani nasza słowiańska miękkość i zbyteczna rzewność, która każdemu aktowi gniewu i oburzeniu nadaje akcenty — żalu, ani brak silnych charakterów i silnych indywidualności w kraju, ani brak wyrobienia politycznego

i haniebna mania bojkotowania każdej władzy. „...Błędem naszym jest zbytnia skromność i ustępliwość" — pisze w 1918 r., mając 22 lata — „niepotrzebna nam wcale... Brak hartu nas gubi".

Bardzo żywo reagował na zagadnienia polityki bieżącej; musiał posiadać dużą dozę intuicji, skoro już w 1920 r. zwrócił uwagę na bezcelowość naszej ekspansji na wschód i gwałtowną potrzebę skoncentrowania wysiłków na zachodnich ziemiach Polski, gdzie skupia się gros interesów narodowych i gospodarczych państwa. W tej myśli stworzył „Związek Obrony Kresów Zachodnich", obecnie „Polski Związek Zachodni", jako środek pracy naukowej i propagandowo-politycznej przeciw zalewowi niemczyzny od zachodu. W „Strażnicy Zachodniej", organie Związku, pisze o wytycznych pracy, których zacytowaniu nie mogę się oprzeć ze względu na dużą jeszcze dziś ich aktualność: „Trzeba rozbudzić tradycje polskie, literaturę dialektologiczną... powstawiać tablice i pomniki dla zasłużonych, wskrzesić zwyczaje ludowe, obudzić poczucie zasiedziałości słowiańskiej, stworzyć mit Polski Zachodniej".

Oto garść wyjątków z pamiętnika, za pomocą którego usiłowałam oddać oblicze duchowe człowieka, który w trakcie jednego z częstych napadów choroby pisał: „gdybym zeszedł ze świata teraz... co by pozostało. Parę kartek wzmianki godnych i moc myśli, których nikt nie zna i znać nie będzie". I dalej: „Zawsze zejście ze świata człowiekowi straszne, ale mniej przecież, jeżeli czuje się członkiem w jakimś korowodzie, podającym sobie „lampada vitae" — jeżeli coś dorobku następnym pokoleniom, które sąd nad nim będą mówić — pozostawi".

Sylwetka Teodora Tyca, cichego i zapomnianego dziś bojownika o duchowe, wewnętrzne wartości człowieka, niegłośnego i nierozleklamowanego pracownika, przemawia głębią swej szlachetnej wielkości. —

W tych zapomnianych bohaterach znachodzimy część swych tęsknot i pragnień. I o to powód dlaczego chcemy ich wydobywać na światło dzienne.

Znajdziecie ich koleżanki i koledzy wokół siebie; nie przechodźcie mimo nich. Pokazujcie ich oblicze, byśmy z nich czerpali ogień wiecznej młodości, za ich przykładem nieśli wysoko płonący znicz szlachetnych myśli i uczuć.

B. G. (Kraków)

CO CZYTAĆ

Uwzględniając życzenia Kolegów i Koleżanek, proszących o podawanie tytułów książek godnych przeczytania, zalecamy tymczasem paru autorów. Urbi et orbi głosimy, by nie rozstawać się nigdy z takimi pisarzami jak: **Stefan Żeromski, Stanisław Brzozowski, Knut Hamsun** („Misteria", „Głód", „Ziemia obiecana"), **Józef Conrad (Korzeniowski).**

Bezcenne są również książki popularno - naukowe Biblioteki Wiedzy (Wyd. Trzaska, Evert i Michalski),

Między innymi:

Chaut Carence August — „Cuda Wszechświata",
De Kruif — „Walka nauki ze śmiercią",
Dimmer E. — „Sztuka myślenia",
Goldschmidt R. — „Wstęp do nauki o życiu",
Carrel Alexis — „Człowiek istota nieznana",
Dryjski Albert — „Mózg i dusza".

ANDRZEJEWSKI JERZY

ŁAD SERCA

Warszawa 1938. Nakładem „Roju".

„Ład serca" jest książką, która w każdym głębiej myślącym człowieku, musi wzbudzić reakcję. Powieść ta jest strzępem epopei wydartym życiu, życiu ludzi walczących z własnym „ja", zmagających się, a zarazem gubiących w przepaściach swych dusz. Ludzie Andrzejewskiego wiecznie cierpią. Czyżby życie rzeczywiście było tak straszne i tak brudne, jak on je znajduje? Czy każdy, kto żyje, musi ciągle cierpieć i bezustannie łamać się w sobą? Tak chyba być nie może.

Anna, Litówka, Morawiec, a pod koniec życia i Taisa są raczej złymi cieniami, nieodstępującymi ani na krok od społeczeństwa, a działającymi bez ważnych przyczyn i nakazów woli. Ksiądz Siecheń zaś, on, raczej omija zło, niż walczy z nim. Ten z gruntu mocny człowiek, w chwilach najbardziej ważnych, gnie się jak gałąź pod naporem silnej ręki. On też działa bez wyraźniejszych przesłanek. Będąc w stanie świeckim, ni stąd ni zowąd rzuca ukochaną Annę, a za powód podaje to, że „Bóg tak chciał". Później, już jako duchowny, idzie nocą do Litowki tylko po to, aby dowiedzieć się, czy ta zgubiona kobieta jest jego dawną, ubustwianą Anną. Ale i inne osoby działają niezrozumiale, a może wręcz jak nienormalne. Po cóż Seweryn opowiada Nawrockiemu o swych zbrodniach, czy tylko po to, by go potem zabić?

Powieść ta, mimo całej swej realności, posiada jednak wiele momentów, które sprawiają wrażenie nienaturalnych, a nawet czysto powieściowych. Inną, nie mniej wielką wadą, jest ogromne, a zasadniczo bezcelowe, nagromadzenie wspomnień i halucynacji. Każdy czyn oparty jest na ekranie wspomnień, wlekących się za człowiekiem i przygniatających go swą natrętną bliskością. Dobrym, natomiast odbiciem uczuć, nurtujących te cierpiące dusze, są bezosobowe rozmowy, przeprowadzane z własnymi sumieniami.

Śmiało można twierdzić, że „Ład serca" jest pierwszą książką, tak bezpośrednio łączącą dogmaty religijne z życiem. Mimo to nie dostrzegamy w tym ani śladu moralizatorstwa, ale raczej przez zestawienie pewnych faktów, wykazywanie dróg, które mają doprowadzić człowieka do „ładu serca".

Postacią najbardziej interesującą nas młodych będzie Michaś, czternastoletni wychowanek księdza Siechenia. Przeobrażenie dokonywane w jego duszy jest najbardziej zrozumiałe dla nas. I tylko my możemy powiedzieć, czy jest on postacią rzeczywiście naturalną, czy też nie. I tu z całą stanowczością trzeba stwierdzić, że tak. Kto jak kto, ale właśnie on jest tym człowiekiem z krwi i kości i jego uczucia nie są nam obce. Prawie każdy z nas przechodził taki kryzys, po którym zaczął sobie zdawać sprawę, że życie nie jest zabawką, że wymaga ono od nas czegoś więcej niż odrobienia lekcji, przeczytania ciekawej powieści i położenia się spać. W duszy naszej zaczyna się coś kłębić, nurtować, by wybuchnąć następnie w postaci wiersza, jak to było u Michasia, zapamiętałej pracy w jakiejś dziedzinie nauki, lub coraz wyraźniejszego kształtowania się poglądów na religię, świat i ludzi.

Na zakończenie trzeba jeszcze stwierdzić, że „Ład serca" nie jest książką dla tych, którzy gonią tylko za ciekawą fabułą. Treść jej zawarta jest w ramach jednej nocy, a rozgrywa się w zapadłej wsi polskiej.

Stamtąd autor wydarł fragment życia i zatytułował go „Ład życia".

Jerzy Dubrowski
Warszawa. Gimn. im. St. Batorego Kl. II l.p.

„GOŁOBORZE"

Od pewnego czasu możnaby Kielce nazwać **grodem poetów.** Jakoś w zeszłym roku dobry los zetknął mnie z onymi młodzianami: J. Michalskim, M. Przeździkiem i M. Sołtysiakiem — i dozwolił na stworzenie świętokrzyskiej grupy poetyckiej „gołoborze". (Zawistni wrogowie dotąd czytają: **„goło, Boże!").**

W naszym pisemku szkolnym utworzyliśmy kolumnę, zatytułowaną szumnie „grupa świętokrzyska", gdzie poczęły się ukazywać **wiersze młodych, a pełnych entuzjazmu poetów.**

Ale — jak to mówią: „dać kurze grzędę..." Otóż w parę tygodni było to już zamało i zaczęliśmy myśleć nad wydaniem tomiku poezji.

Wiadomo — śmiałym szczęście sprzyja. Istotnie — w kwietniu b.r. ukazał się nakładem „Młodzi Idą" 130 stronicowy **tom poezji, zatytułowany „Gołoborze"** i z niecierpliwością oczekiwany przez liczne rzesze koleżanek ze wszystkich kieleckich gimnazjów żeńskich.

Rozdzielaliśmy na prawo i lewo autografy, chodziliśmy w aureoli sławy i uwielbienia.

Z dumą patrzyliśmy na nasz wysiłek, który doprowadził do stworzenia **najmłodszej na świecie grupy poetyckiej** i do wydania tomu wierszy.

Na wakacje rozjechaliśmy się w cztery strony świata (ja — w góry, Przeździk — nad morze, Michalski — na Polesie, Sołtysiak — na zachód) — aby zebrać jak najwięcej nowych wrażeń i przywieść mnóstwo utworów.

Trzeba zaznaczyć, że oprócz czterech wyżej wymienionych matadorów „Gołoborza" — działają (tzn. piszą i drukują swe utwory) **jeszcze inni poeci** młodzieżowi — jak kol.kol. Stano, Szymkiewicz, Brede — nie mówiąc już o licznym zastępie prozaików, którzy wybitnie zasilają łamy pisma i kosz redakcyjny „Młodzi Idą".

Wszyscy jednak pracujemy i wierzymy w siebie, bo mamy moc i siłę, a zjednoczonym we wspólnym wysiłku — nic się nie ostoi!

Jerzy Krzeczowski
Kielce kl. II liceum





MODELKA

Wytw.: Metro - Goldwyn - Mayer.
Film: Psychologiczno - obyczajowy.
Język: angielski.
Tyt. oryg.: „Mannequin".
Obsada: Joan Crawford, Spencer Tracy.
Reż.: Franc Borzage.

Naprawdę trudno jest napisać recenzję z filmu „Modelka". Z jednej strony może bowiem grozić zarzut niedoceniania tego wspaniałego obrazu, z drugiej znów popadnięcie w krzykliwy, reklamarski styl wzmianek ogłoszeniowych. — Powiem tedy prosto — jest to wielki film.

Wielki — jako popis, rzadko spotykanej klasy gry aktorskiej; wielki — jako dzieło twórcze reżysera. **Frank Borzage potrafił** perełkami kreacyj artystów wyhaftować cudny gobelin; potrafił wzruszyć rzeczywistością życia, zamkniętego w cienie błądzące po ekranie. Umiał wydobyć z zespołu maximum sztuki, jaką jest wcielanie się w papierowe postacie scenariusza. Drobne niedociągnięcia, lekki chociażby ślad szarży spowodowałby rozerwanie czarodziejskiego kręgu wrażenia, któremu ulegał widz filmu „Modelka". — A widzowi temu postawiono pewne wymaganie: aby nie należał do **hołoty duchowej,** szukającej w kinie podniecenia i tłustych pseudo dowcipów. Tacy wychodzili znudzeni, gdyż nie znaleźli nic pikantnego, nie zobaczyli mordo - bicia.

Byli jednak i inni, widziałem pułkownika, który nieudolnie maskował wzruszenie, ukradkiem obcierając załzawione oczy!

Nie wstydźcie się i wy, czytelnicy, płakać jeśli będziecie oglądali ten film, on przemawia do duszy — trzeba ją tylko mieć.

Rola robotnicy, girsy i modelki, marzącej o posiadaniu **własnego,** spokojnego domu jest, jakgdyby, specjalnie pisana dla **Joan Crawford.** A i przedsiębiorca transportowy — **Spencer Tracy** — był nie wymuskanym gogusiem,, lecz człowiekiem „normalnym", brzydkim i kulejącym.

Pozostałych aktorów świetnie dobrano do postaci, którym mistrzowsko potrafili nadać plastykę charakterów.

Obraz wysubtelniły doskonałe zdjęcia, robione techniką gry światło - cieni.

Sumując powyższe — **jest to najlepszy film,** jaki kiedykolwiek widziałem.**Zobaczcie go koniecznie,** bez względu na cenę biletów.



„PRZYGODY ROBIN HOOD'A"

Wytw.: Warner Bros - First National.
Film: Kolorowy dramat historyczny.
Obsada: Errol Flynn Olivia de Havilland.
Język: angielski. **Tyt. ang.:** „Robin Hood".

Bohater narodowy angielski Robin Hood, stronnik Ryszarda Lwie Serce uwieczniony został na filmie. Zręcznie zaplątany wątek romansu w połączeniu z epopeą walk sasów z normandzkim Janem Bez Ziemi, stworzył bardzo ciekawą, pełną życia, lecz nie pozbawioną subtelniejszych momentów, sztukę. Cudowne stroje i widoki. Kolory za mocne, zbyt czerwone i kontrastowe. Bezwzględnie warto zobaczyć.

V. V.

Scena z filmu „Przygody Robin Hood'a"



CO MI TERESA SUCHECKA O SOBIE I O NAS POWIEDZIAŁA

Po „Gałązce Rozmarynu" postanowiłem zobaczyć tę, która tak naturalnie odgrywała rolę Sławy. Idę więc na „tylny front" teatru — wejście dla aktorów.

Onieśmielonym głosem pytam portiera, czy mogę zobaczyć panią Teresę Suchecką. — Proszę czekać aż wyjdzie. — Nie mając innego wyjścia tłumaczę długo, powoli, dobitnie, że muszę Ją zobaczyć, że to gazetka, reportaż, no i że stanowczo muszę się widzieć i basta. Portier przekonany ostatnim szczególnie argumentem, wzruszył ramionami i odpowiedział. „O ile panu tak strasznie zależy, to proszę tędy, korytarz na lewo". Udałem się we wskazanym kierunku. Po długiej wędrówce dotarłem w końcu do upatrzonego celu — do drzwi z wizytówką: Teresa Suchecka. Zapukałem — chwila oczekiwania i drzwi otwierają się, ukazuje się w nich pani ze znakiem zapytania w oczach. Mogę się zobaczyć z panią Teresą Suchecką? Pani przytakuje, wpuszcza mnie do pokoju, a sama zostaje za drzwiami. Owiał mnie mdły zapach papierosów. Przed stolikiem, na którym stoi pełno szkatułek, pudełek i słoików, siedzi w mundurze strzeleckim Sława. — Po przedstawieniu się, wyjaśniłem cel mego przybycia i pokazałem numer 2 (5) „Młodego Nurtu", w którym kol. N. R. przy końcu artykuliku pt. „Nasza wielka sympatia" wzywa młodzież lwowską do napisania czegoś o wielkiej aktorce i przyjaciółce młodzieży — Teresie Sucheckiej. Pani Suchecka po przeglądnięciu numeru stwierdza, że pismo jest doskonale redagowane i wszechstronne, jest bowiem coś ze sceny, filmu, sztuki, literatury, historii, polityki i sportu, wszystko co może młodzież współczesną zainteresować. Artykulik wzruszył ją bardzo i wspomniała mi o głębokiej sympatii dla młodzieży krakowskiej. Lwowskiej młodzieży nie zdążyła jeszcze poznać, albowiem było dopiero jedno przedstawienie dla młodzieży szkolnej, ale nie wątpi, że zdoła poznać i polubić. Pracę młodzieży we własnym piśmie pochwala. **„Młody Nurt" jest pierwszym znanym jej pismem młodzieży szkolnej, które postanowiła zaprenumerować.** Teraz poprosiłem o krótkie artystyczne curriculum vitae.



„Urodziłam się w Warszawie, gdzie też pierwszy raz wstąpiłam na deski sceniczne; nie przeszłam żadnej szkoły dramatycznej, szkołą moją była scena. Jako eksternistka zdałam do Z. A. S. P.u (Związek Artystów Sceny Polskiej), poczym wyjechałam do Reduty, która była pod kierownictwem wielkiego artysty i wielkiego pedagoga, Juliusza Osterwy. W Reducie byłam 1 rok, stąd pojechałam do Łodzi, gdzie pracowałam pod kierownictwem wielkiej tragiczki sceny polskiej Stanisławy Wysockiej, następnie w Wilnie u dyr. Szpakowicza, w Krakowie u dyrektora Frycza, znakomitego malarza — dekoratora oraz znawcy teatru; teraz zaś mam szczęście być znów u dyrektora Szpakowicza we Lwowie". A cóż pani sądzi o młodzieży jako widowni teatralnej?

„Jest to sąd nie tylko mój, ale i większości aktorów, że najmilszymi spektaklami są spektakle dla młodzieży szkolnej, dlatego, że młodzież jest najwdzięczniejszym widzem, najbardziej przejmuje się akcją i nie wstydzi się swoich uczuć, to jest nie skąpi braw, śmiechu a nawet łez".

I Lempert
Lwów, Gimnazjum Stefana Batorego.



BRZEŚĆ n/B. GIMNAZJUM im. R. TRAUGUTTA

Po rozpoczęciu nauki praca w naszym gimnazjum od razu poszła normalnym torem. Okres pierwszego miesiąca był poświęcony w poszczególnych organizacjach na zorganizowanie i omówienie metod pracy w ciągu całego roku szkolnego.

W okresie, gdy wszyscy wyrażali wolę przyłączenia Śląska Zaolzańskiego do Macierzy, młodzież naszego gimnazjum wykazała swą jedność z narodem, biorąc gremialny udział w wystąpieniach zewnętrznych, oraz organizując zbiórkę na rzecz braci zza Olzy. W ciągu ½ godziny zebraliśmy kilkaset złotych.

Jednocześnie w gimnazjum prowadzona jest zbiórka makulatury na cele P.B.K., oraz zbiórka pieniężna na F.O.N.

W uroczystości poświęcenia kopca Sienkiewicza w Okrzei, wzięła również udział delegacja naszego gimnazjum.

Życie sportowe ogranicza się narazie do spotkań międzyklasowych i międzyszkolnych. Na wiosnę jednak sportowcy, tradycją lat poprzednich, będą urządzali wypady do innych miast.

W. Borsuk.

RAKOWICE

Na terenie konwiktu często są urządzane tzw. „żywe dzienniki", w których uczniowie bardzo ciekawie i wesoło opisują życie zakładu. Jakkolwiek poważne rzeczy natrafiają na trudności, to wesołe piosenki, czy skecze zostają szybko przez kolegów wyprodukowane.

Dość częstym gościem naszego konwiktu jest film. Zagląda on dwa do trzech razy na tydzień i jest przyjmowany „burzą oklasków". W tym roku z ciekawszych filmów mieliśmy: „Robert i Bertrand" i „Ślepy Zaułek" z Sylwią Sydeny.

Poza tym raz na miesiąc chodzimy do teatru krakowskiego im. Juliusza Słowackiego.

Ant. Gumowski
Konwikt OO. Pijarów

KIELCE

W II Państwowym Liceum i Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego praca wre. Bardzo czynna społecznie szkoła, daje ciągle na zewnątrz znać o swej działalności. Często urządzane imprezy, akademie i wieczory literackie, gromadzą b. liczne rzesze młodzieży kieleckiej, która bardzo chętnie popiera się wzajemnie. Wieczory literackie urządza stale Redakcja pisma szkolnego „Młodzi Idą". Ostatni taki wieczór odbył się 8 października. („Młodzi Idą" jest pismem, redagowanym przez młodzież naszego zakładu już od sześciu lat).

Na terenie szkoły ożywioną działalność rozwija Samorząd Szkolny, zajmujący się porządkowaniem naszego wewnętrznego, uczniowskiego życia i urządzający w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, podniosłą uroczystość zwaną: „Pozdrowienie sztandaru". Ostanie „Pozdrowienie" poświęcone było radosnym chwilom zwycięstwa polskiej racji stanu za Olzą i tygodniowi Tow. Popierania Budowy Szkół Powszechnych.

Poza tym istnieją na terenie szkoły różne kółka naukowe — jak: literackie, historyczne, germanistyczne, matematyczne — oraz Sodalicja Mariańska, Drużyna Harcerska i inne.

Wszystkie organizacje rozpoczęły już pracę, wysuwając hasło zbiorowej i indywidualnej odpowiedzialności za działalność.

Jerzy Krzeczowski
Kielce, kl. II liceum.

TCZEW

Kolega **B. Siemianowski z Tczewa** donosi nam o zorganizowaniu na terenie gimnazjum kursu samochodowego, którego kierownictwo objął sam p. Dyrektor. Kurs dzieli się na trzy grupy: początkujących, przygotowujących się do egzaminu i posiadających prawo jazdy. Gimnazjum posiada dwa samochody, w tym „benjaminek" „OPEL - OLYMPIA" marzenie każdego ucznia. Kurs prowadzony jest bardzo dobrze, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich uczestników.

Nie każde z gimnazjów i liceów może pochwalić się taką zapobiegliwością w przysposobieniu do przyszłego życia.

75 LAT ISTNIENIA GIMNAZJUM GNIEŹNIEŃSKIEGO

Gimnazju im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie obchodziło w dniach 14 i 15 października 75-tą rocznicę swego istnienia. Z tej okazji została odkryta piękna karta historii przeszłości placówki, płonącego ogniska nie tylko kultury i wiedzy, ale i ducha polskiego. Gimnazjum gnieźnieńskie służyło chlubnie narodowi polskiemu zarówno w zaborach jak i w walkach o niepodległość. Młodzież bardzo licznie brała udział w walkach wyzwoleńczych, składając na ołtarzu odradzającej się Ojczyzny swe młode siły i niejednokrotnie swe życie. I dziś w Wolnej Polsce rola gimnazjum gnieźnieńskiego w niczym nie została uszczuplona.

Ż. M.

NIEUDAŁY LOT DO STRATOSFERY.

W feralny piątek 13 października miał się odbyć start do lotu stratosferycznego. Napełnianie powłoki balonowej rozpoczęto już w czwartek o g. 11-tej w nocy przy spokojnej, bezwietrznej pogodzie. Niestety nad ranem pogoda zepsuła się fatalnie i trzeba było odłożyć start. Wobec tego rozpoczęto wypuszczanie gazu z powłoki i wtedy zdarzył się ten tragiczny wypadek. Na skutek tarcia wytworzyła się iskra, która spowodowała wybuch wodoru. Powłoka spaliła się w swej górnej części; wobec tego start został odłożony do przyszłej wiosny. W obozie panuje ogromne przygnębienie. W tych dniach nastąpi przetransportowanie całego sprzętu z powrotem do Legionowa.

A więc do zobaczenia na Polanie Chochołowskiej na wiosnę 1939 roku.

WYSTAWA „WARSZAWA, WCZORAJ, DZIŚ, JUTRO".

W dniu 13 października br. P. Prezydent Rzplitej otwarł wystawę „Warszawa wczoraj, dziś, jutro"; wystawa została zorganizowania celem ujawnienia rozwoju stolicy, przedsta-szczególnie zaś za nadzwyczajny wysiłek, włożony w sprawę wienia jej w czasach historycznych, w chwili obecnej i niedalekiej przyszłości. Inicjatorom chodziło głównie o zbliżenie całego społeczeństwa do problemów urbanistycznych stolicy państwa polskiego.

ORDER „ORŁA BIAŁEGO" DLA MIN. BECKA.

Minister Spraw Zagranicznych **Józef Beck** otrzymał w dniu 11.X. br. z rąk P. Prez. Rzplitej odznakę orderu „Orła Białego". Tak dostojne wyróżnienie spotkało ministra Becka za jego specjalne zasługi dla Polski na arenie międzynarodowej, szczególnie zaś za nadzwyczajny wysiłek włożony w sprawę odzyskania Śląska Zaolzańskiego.

ODCZYTY LITERACKIE ZA OLZĄ.

Związek Literatów przystąpił do organizowania występów artystycznych dla Polaków na nowo odzyskanej ziemi Zaolzańskiej. Przedstawiciele pisarzy starszego, średniego i młodego pokolenia wystąpią z własnymi utworami, których treść ma związać uczuciowo i pokrzepić nowych obywateli Rzplitej. Prezes Związku Literatów, **Ferdynand Goetel**, przywiązując wielką wagę do nowopodjętej pracy, usiłuje nadać jej właściwego biegu w połowie listopada. Wszystkie więc niemal osady Zaolzańskie będą gościły naszych pisarzy, Polaków - artystów.

„MŁODY NURT" NA 20-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI.

W dniu 11 listopada b. r. ukaże się numer „Młodego Nurtu", poświęcony 20 - leciu odzyskania Niepodległości.

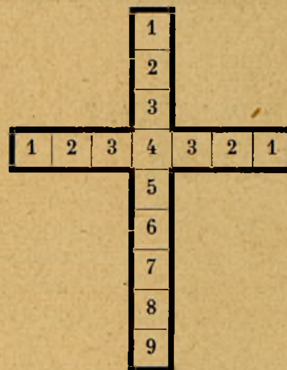
Na zaproszenie naszego Komitetu Młodzieżowego biorą udział w redagowaniu pierwszorzędne pióra.

Nie omieszkacie Koleżanki i Koledzy nabyć bogato ilustrowanego i bogatego treściowo numeru z okazji 20-lecia Niepodległości.

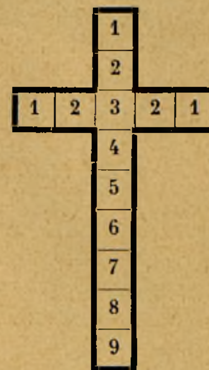
ROZWIĄZANIE.

Za trafne rozwiązanie zadania z Nr 2 (5) „Młodego Nurtu", **„O nieuczciwym a przemyślnym jubilerze", roczną, bezpłatną prenumeratę otrzymuje kol. Laszko Michał z Kobrynia.**

Rozwiązanie: Wyjaśnia rysunek:



Krzyż przed reperacją.



Krzyż po reperacji.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Kol. T. G. — Warszawa. Cenimy zapał kolegi. Wiersze nie nadają się jeszcze do druku. Należy dużo czytać. Nie zaszkodzi nawet przeczytanie teorii poezji (uwzględnić rytm i rym). Zachęcamy do pracy.

Kol. J. B. Kielce. Sprawy kolportażu przekazaliśmy administracji. Prosimy o przysłanie zapowiedzianego artykułu.

Kol. S. J. Łódź. Obietnicę poważnej współpracy przyjmujemy bardzo chętnie. Oba rodzaje prac, o których mówi kolega, są w „Młodym Nurcie" traktowane. Wybór zależy od autora. Życzymy powodzenia w pracy.

Kol. J. W. Toruń. Legitymację wysłaliśmy. Sprawy kolportażu przekazane administracji.

Kol. W. B. Brześć n/Bugiem. Zapowiedziane artykuły z terenu gimnazjum nie nadeszły. Artykuł kolegi zatrzymujemy, jednak bez pewności drukowania. Prosimy o inne.

Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. Ślązak — „Granica polsko - niem.". Oczekujemy na zapowiedziane nowelki o życiu górników. Mamy nadzieję, że współpraca nasza ułoży się dobrze. Przesyłamy koleżeńskie pozdrowienia.

Kol. St. Ch. Pułtusk. Na współpracę zgadzamy się. List wysłaliśmy. Życzymy powodzenia w pracy.

Kol. F. R. Kraków. Za wyrazy uznania dla pisma dziękujemy. Cieszy nas chęć szczerej współpracy. Prosimy o nadsyłanie materiału. Może raczej proza niż wiersze, gdyż te są jeszcze zbyt słabe. Przesyłamy pozdrowienia i życzenia powodzenia w pracy.

Kol. I. L. Lwów. Fotografia nadeszła zbyt późno, gdyż na terenie Lwowa mamy już korespondentów. **Dlatego też** nie możemy uwzględnić prośby kolegi, tyczącej wystawienia legitymacji. Uwagi na temat książek są słuszne i zużytkujemy je w najbliższych numerach. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. E. M. Kraków. Wierszy nie umieścimy. Nadesłany artykuł zatrzymujemy do wykorzystania w najbliższych numerach. Przesyłamy pozdrowienia.

Kol. W. S. Stanisławów. Prosimy o nadsyłanie korespondencji z terenu gimnazjum i miasta. Osobnej kolumny jednak nie wydzielimy. Życzymy powodzenia.

Kol. J. W. — Lwów. List kolegi dostaliśmy po złożeniu numeru. Za życzenia rozwoju dziękujemy. Numery do kolportażu prześlemy. Recenzji umieścić nie możemy, gdyż w tym numerze zamieściliśmy wywiad z P. Suchecką, a recenzje kolegi przyszły zbyt późno. Czekamy na materiały i przesyłamy pozdrowienie.

Kol. Ch. G. Prosimy o podanie dla celów ewidencyjnych imienia, gizmnazjum, klasy, do której kolega uczęszcza. Po otrzymaniu danych, prześlemy list omawiający współpracę. Przesyłamy pozdrowienie.



W dniach 12 do 16 b.m., **zespół** polskich **koszykarek** walczył **w Rzymie** o tytuł mistrza Europy. Do rozgrywek stanęły oprócz naszej drużyny: Francja, Włochy, Szwajcaria i Litwa. Polska pomimo, że miała na równi z drużyną francuską i włoską po 3 zwycięstwa i 1 porażce, skutkiem gorszego stosunku bramek uplasowała się na III miejscu przed Litwą i Szwajcarią.

Polki w drodze powrotnej rozegrały w Mediolanie mecz z najlepszą drużyną włoską Ambrosiana, do której przegrały 15 : 27. Padły one ofiarą systemu, który nadaje koszykówce charakter gry wybitnie ofensywnej, nieomal brutalnej.

Nie martwi nas fakt, że nasze panie przywiozły do kraju pomniejszy pucharek i nie zdobyły mistrzostwa Europy. Zdobyły bowiem coś bez porównania ważniejszego: zjednały sobie sympatię wymagającej publiczności włoskiej, podbiły serca całego Rzymu. Wszystko co polskie miało powodzenie i zdobywało poklask tłumów zapełniających widownię. Czyż można sobie życzyć lepszej propagandy polskości za granicą?

— — —

W Warszawie odbyły się w dniach 17—20 bm. **zawody o mistrzostwo armii w pięcioboju nowoczesnym**. Pięciobój nowoczesny składa się, jak sama nazwa wskazuje, z 5 konkurencji, w skład których wchodzą: konna jazda, pływanie, strzelanie, szermierka oraz bieg na przełaj 4 km. Bezkonkurencyjnym okazał się zeszłoroczny mistrz ppor. Batog, który zdobył 16 i pół punkta, podczas gdy następny por. Kochański 44 pkt. Wynik nowokreowanego mistrza armii jest na poziomie najlepszej klasy pięcioboistów świata. Związek WKS-ów w planie pracy na rok 1939 przewiduje cały szereg obozów i kursów dla zespołu pięcioboistów, tak by w roku olimpijskim osiągnęli oni swą szczytową formę. Obecny materiał jest bardzo dobry, zawodnicy rokują wielkie nadzieje, lecz posiadają formę za mało oszlifowaną i stałą. Dlatego też należy zawczasu pomyśleć o podciągnięciu ich do poziomu jaki reprezentuje ppor. Batog.

— — —

W Warszawie na Stadionie W. P. w obecności Pana Marszałka Rydza - Śmigłego oraz dwudziesto - tysięcznej rzeszy publiczności, został rozegrany **mecz piłkarski pomiędzy** reprezentacyjną **jedenastką Polski a zespołem Norwegii.** Było to trzecie z rzędu spotkanie. Pierwsze wygraliśmy we Frederikstacie 4 : 3, następne przegraliśmy podczas Olimpiady 2 : 3, niedzielny mecz przyniósł wynik 2 : 2. A więc w ogólnej punktacji spotkań wynik jest nadal remisowy.

W pierwszej połowie przebieg gry był dla Polski dramatyczny. Norwegowie byli technicznie i taktycznie lepsi, mieli cały szereg pięknych zagrań, poza tym wylosowali boisko z wiatrem. To też stan do przerwy brzmiał 2 : 0 dla gości. Bramki strzelili Nordahl w 6-tej i Martinsen w 40 minucie.

W drugiej połowie polski atak przychodzi do głosu, natomiast Norwedzy zaczynają się gubić w zagraniach, Nordhal jest bowiem kontuzjowany, a Kvammen nie wiele sam może zdziałać. Wreszcie w 28 minucie Piec pakuje piłkę do bramki tak, że bramkarz Johansen nawet nie drgnął. Na trybunach podnosi się nieopisany entuzjazm, który towarzyszy grze do końca maczu i jest ogromnym dopingiem dla naszej drużyny. Na 3 minuty przed gwizdkiem Wilimowski przebija się przez nieprzyjacielski atak i z 5 metrów strzela w róg bramki. Wynik do końca pozostaje 2 : 2.

Skład drużyn: Tipper Johansen, Lasse Marthinsen, O. Holmsen, K. Henriksen, Nils Eriksen, Holmberg, Frantzen, Kvammen, Nordahl, Seatrang.

Madejski, Szczepaniak, Gałęcki, Góra, Nytz, Dytko, Piec I, Piontek, Wostal, Wilimowski, Wodarz.

Sędziował p. Langenus — Belgia.

— — —

Nikkanem, **fiński zawodnik**, osiągnął na zawodach w Helsinkach wspaniały wynik 78,70 m w rzucie oszczepem. Obiecuje on wraz ze swym kolegą Järvinenem dorzucić w roku olimpijskim owe 130 centymetrów, brakujące do fantastycznego wyniku 80 metrów.

— — —

Doskonały **tenisista niemiecki** von Cramm został wypuszczony z więzienia i jak krążą plotki ma znów w roku przyszłym zasilić reprezentację Niemiec.

Przyjaciele von Cramma dementują jednak tę wiadomość. Twierdzą oni, że mistrz nigdy już nie powróci na reprezentacyjne korty Rot-Weiss'ów berlińskich; natomiast jest pewnym, że osiądzie w swej posiadłości ziemskiej, by oddać się agrykulturze.



Ppor. Batog po biegu

KOLEŻANKI! KOLEDZY!

przypominamy, że termin nadsyłania prac na

WIELKI KONKURS WAKACYJNY

upływa z dniem 15 listopada 1938 r.

Ostatnia okazja.

Bogate nagrody różnych firm czekają!



Pamiętaj o N-rze na 20-lecie Niepodległości!

Druk ukończono dnia 27 października 1938 r.

REDAKTOR: Bolesław T. Łaszewski. WYDAWCA: „Instytut Wydawnictw Współczesnych".

Prenumerata roczna (10 miesięcy) — zł. 2,80, kwartalnie — 0,85. Numer pojedyńczy 15 gr. Konto rozrachunkowe nr 362.

Ceny ogłoszeń: 1/1 — 500 zł; 1/2 — 275 zł; 1/4 — 150 zł; 1/8 — 80 zł.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Myśliwiecka 5. Codziennie od 10—14, ponadto we wtorki i piątki od 16.30—18.30.
Tel. Redakcji i Administracji 9-95-62.

Drukarnia »Społeczna«, Warszawa, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.